



DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI

Warszawa 18 grudnia 1955 r.

Nr 50 (524)

DUONG-VAN-DAM

DOŚWIADCZENIA WIETNAMSKIE

MIĘDZYNARODOWE spotkanie katolików, zorganizowane w Warszawie na początku listopada, w związku z X-leciem działalności PAX'u, było urzecznością, która dodała wiele otuchy nam, katolikom wietnamskim, walczącym wraz z całym naszym narodem o pokój, jedność, niepodległość i demokrację naszego kraju.

Katolicy z różnych krajów mieli już okazję spotykać się niejednokrotnie czy to w tym czy w innym kraju. Jednakże tym razem to międzynarodowe spotkanie katolików, zorganizowane przez PAX w Warszawie, ma w naszych oczach specjalne znaczenie. Katolicy z Europy i z Azji, przybyliśmy do Warszawy, tej bohaterskiej stolicy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która buduje socjalizm, a której ludność w 90 proc. jest katolicą.

Rzeczywistość faktów, które widzimy na polskiej ziemi, wymaga od nas katolików pewnego zastanowienia.

— Czy winniśmy się trzymać tej koncepcji, którą nam zawsze głoszone, że Kościół i socjalizm nie mogą współistnieć?

— Jakże winno być stanowisko katolików w obecnym świecie?

Na pytania te, my katolicy wietnamscy odpowiedzieliśmy czynami przez 9 lat walki o niepodległość narodową oraz obecną walką o ustabilizowanie pokoju i umocnienie jedności naszego kraju.

Od 23 września 1945 r., tzn. od dnia wyładowania wojsk francuskiego korpusu ekspedycyjnego w południowym Wietnamie, kolonialisci nie przestawali głosić, że zajmują nasz kraj jedynie celem zlikwidowania komunizmu i zabezpieczenia Kościoła. Hasłem tym pragnęli przekonać katolików wietnamskich o ich szustnej sprawie. Od chwili zakończenia wojny rząd amerykański — postępując się w tym celu „katolikiem” Ngo-Dinh-Diem'em — interweniuje w sprawy wewnętrzne naszego kraju i pragnie przekształcić południową część Wietnamu w kolonię podległą USA. W tym to właśnie celu niektórzy kierownicy Kościoła w Wietnamie nawołują wiernych do walki z komunizmem celem obrony Kościoła.

Jednakże rzeczywistość faktów nauczyła nas wiele i otworzyła nam oczy.

W okresie walk o niepodległość widzieliśmy setki kościołów wietnamskich zniszczonych przez bomby lotnicze lub przez ostrzał samolotów amerykańskich. Wiemy, że setki innych kościołów zamieniono na posterunki wojskowe, a wieże kościelne na punkty strzelnicze z umieszczonymi na szczycie działami. Kościół z Khoan-Du z diecezji Phat-Diem bombardowany był 9-ciokrotnie przez samoloty amerykańskie. Kościół z Van, z prowincji Hung-Yen, stał się ogromnym grobem dla przeszło 100 naszych braci poległych dwa lata temu w czasie bombardowania kościoła podczas noworocznej Mszy św. Wiemy również, że nasze siostry, żony i córki, katoliczki, były gwałcone przez żołnierzy korpusu ekspedycyjnego w kościołach, przed ołtarzem Najświętszego Sakramentu, w chwili gdy zbierały się, by wysłuchać Mszy św. lub odmawiać pacierze. Przez cały czas trwania okupacji kolonialnej wiele wiosek zostało zniszczonych, rodzin zmasakrowanych i wiele parafii opustoszało.

Po zakończeniu działań wojennych w naszym kraju, wówczas gdy katolicy wietnamscy wraz z całym narodem obchodzili radośnie przywrócenie pokoju — imperialiści nalegali na naszych braci z Północy, by udawali się na Południe. Chcąc cel ten osiągnąć rozgłaszali z całym cynizmem, wraz z udziałem niektórych prałatów i pewnej części duchowieństwa wietnamskiego, będącego na żoździe Ngo-Dinh-Diema, że w „cudownych objawieniach Pan Bóg i Matka Boska dają znać, że sami udali się na Południe”. Tego rodzaju rozsiewane wieści nie były bez wpływu na naszych braci z Północy, których nawoływano do emigracji na Południe Wietnamu „celem uniknięcia prześladowania religijnego oraz obrony wiary chrześcijańskiej”.

Konsekwencje tego rodzaju propagandy były dla wielu rodzin ka-

tolicznych w Wietnamie fatalne. Ileż osób opuściło domy rodzinne, wioski, parafie; żony pozostawione bez mężów, rodzice bez dzieci, siostry bez braci; cała ta fala ludzka udawała się w obie strony, by wieść życie tułaczne na Południu Wietnamu lub w Ameryce Południowej, wyzyskiwana do ostateczności przez właścicieli plantacji. Wielu młodych ludzi zostało siłą wcielonych do „katolickiej” armii Ngo-Dinh-Diem'a", by służyć agresywnym celom amerykańskim. Wiele młodych dziewcząt i kobiet katolickich, przebywających obecnie na emigracji na Południu, nie mając żadnych środków utrzymania, stały się towarem sprzedażnym w domach publicznych, jawnym miejscem rozpusty.

Zwróćmy teraz uwagę na sytuację katolików na Północy Wietnamu.

Przed wszystkim należy podkreślić, że rząd Republiki Demokratycznej otoczył opieką i poważaniem kościoły katolickie. Natychmiast po ewakuacji wojsk francuskich nasi żołnierze wietnamskiej armii ludowej dopomagali ludności katolickiej w odbudowywaniu i uporządkowaniu kościołów, które zamienione były przez okupanta na posterunki wojskowe. Wspólnie również oczyszczano kościoły od otaczających je drutów kolczastych oraz min, by umożliwić wiernym zbieranie się w miejscach świętych na Msze św. oraz na wspólne modlitwy.

Duchowieństwo ma pełną swobodę wypełniania obowiązków duszpasterskich.

Tak z punktu widzenia materialnego jak i moralnego poziom życia katolików wietnamskich bardzo się podniósł.

Na mocy przeprowadzonej reformy rolnej każdy chłop jest właścicielem pewnej części ziemi. Wszyscy mają możliwość kształcenia się w licznych szkołach ludowych. Dzięki rozpowszechnieniu szkolnictwa i wysiłkom rządu Republiki Demokratycznej — 90 proc. ludności Północnego Wietnamu umie czytać i pisać. Wierni nie cierpią głodu ani zimna uczęszczają licznie do kościołów, by brać udział we Mszach św. lub we wspólnych modlitwach, a umiając czytać rozumieją coraz lepiej sens odmawianych przez nich modlitw i chwytają głębiej znaczenie nauki Kościoła.

Od czasu nastania pokoju, przy pomocy rządu Ludowej Republiki, wiele kościołów uszkodzonych lub zburzonych w czasie walki o niepodległość na skutek bombardowania zostało odnowionych lub nawet odbudowanych jak np. katedry w Ninh Binh (diecezja Phat-Diem), w Tam Toa (rejon czwarty okręgu międzystrefowego). Jeżeli chodzi o naszych rodaków, którzy na skutek pogroźek, manewrów czy przymusu ze strony kolonialistycznej udali się na Południe, to władze administracyjne zapewniły ochronę i administrację ich dóbr do czasu aż powrócą do swoich wiosek. W dniu 14 czerwca 1955 r. nasz Prezydent Ho Chi Minh podpisał dekret potwierdzający szczerą i niewzruszoną politykę prowadzoną przez rząd Ludowej Republiki od czasu Rewolucji z sierpnia 1945, a mianowicie politykę poszanowania wolności sumienia i wyznania.

Wobec tego stanu faktycznego, nasi współrodacy katolicy zrozumieli jaki kontrast istnieje między sytuacją Kościoła na Północy, gdzie korzysta z pełnej swobody a

jego sytuacją na Południu, w ustroju „faszystowskim” Ngo Dinh Diema, człowieka wiernego imperialistom amerykańskim.

I dlatego właśnie oszukańcza propaganda, pogroźki i nacisk ze strony niektórych członków duchowieństwa wietnamskiego, którzy usiłują zmusić katolików do współpracy z Diemem nie osiągają celu, to jest nie odwołują katolików wietnamskich od walki patriotycznej o wolność i zjednoczenie ich kraju.

W roku 1951, w odpowiedzi na instrukcję zawartą w liście okręgowym JE Dooley'a, delegata apostolskiego w Wietnamie, który wzbraniał katolikom brać udział w walkach przeciwko agresorom, katolicy trzeciego rejonu międzystrefowego uchwalili jednomyślnie następującą rezolucję.

„Nakazywanie nam zwalczania komunizmu to nawrót do propagandy, która zawsze była prowadzona przez kolonialistów i imperialistów francuskich i amerykańskich. Dlatego w liście nie ma mowy o bombardowaniach z powietrza, które zrujnowały tyle naszych kościołów, o morderstwach i potwornych rzeziach dokonywanych przez żołnierzy korpusu ekspedycyjnego na osobach naszych rodaków katolików, dlaczego nie ma w nim mowy o wszystkich naszych nieszczęściach i cierpieniach wywołanych okupacją kolonialną. Wręcz przeciwnie JE Delegat Apostolski zmusza nas do współpracy z wrogami całego naszego narodu, pod pretekstem, że należy zwalczać komunizm”. Jest u nas popularne przysłowie, które mówi: „Wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi, przyjaciele naszych wrogów są naszymi wroga-

mi”. Kierując się mocnym postanowieniem zwalczania nieprzyjaciół naszego narodu, wietnamscy katolicy uważają sobie za wielki zaszczyt i są dumni, że wnieśli swój wkład w bohaterską walkę całego naszego narodu o wyzwolenie. Na każdym odcinku działalności rządowej znajdują się przedstawiciele katolików: w wojsku ludowym również. Przytaczamy tylko kilka nazwisk spośród wielu: śp. ks. Pham Ba Truc, doktor teologii, viceprzewodniczący stałego komitetu Zgromadzenia Narodowego, odznaczony orderem Niepodległości Narodowej, zmarły w 1954 r., dr Vu Dinh Tung, chirurg, obecny Minister byłych Bojowników i Inwalidów Wojennych, generał Tran Tu Binh, nasz narodowy bohater pracy w rolnictwie Hoang Hanh, ks. Vu Xuan Ky, członek prezydium Frontu Narodowego i viceprzewodniczący Rady Pokoju w Wietnamie.

Najwaleczniejsi partyzanci, kilkakrotnie odznaczani za czyny bojowe, jak owa młoda wieśniaczka katolicka Vu Thi Lien, która wysadziła w powietrze napastniczy okręt wojenny i Ha Ba Lan, dowodzący oddziałem katolickich partyzantów słynnych z czynów bojowych.

Czy można powiedzieć, że wietnamscy katolicy, którzy nie zastanawiali się do instrukcji JE Delegata Apostolskiego, którzy walczyli o pokój i niepodległość narodu byli nieposłuszni Ojcu Świętemu? Walcząc przez 9 lat przeciwko kolonialistom - agresorom a teraz walcząc o umocnienie pokoju i zjednoczenie narodu, czyżby nasi rodacy katolicy zajęli stanowisko sprzeczne z doktryną Kościoła?

Nie, my katolicy wietnamscy, tak samo jak wszyscy nasi bracia i siostry w wierze na całym świecie, głośno oświadczamy naszą wierność Ojcu Świętemu. Ale prosimy Go o konkretne i rzeczowe rozpatrzenie sytuacji Kościoła katolickiego w Wietnamie. Sytuację tę przeżywaliśmy od lat dziesięciu.

Od czasu narodowej rewolucji w sierpniu 1954 r. nasz kraj, dotychczas przez wszystkich niemal ignorowany, zajął teraz należne sobie miejsce w wielkiej rodzinie krajów obozu pokoju i demokracji.

Kolonialisci, którzy od 1945 r. chcieli ponownie okupować nasz kraj, musieli po smutnych dla narodu francuskiego doświadczeniach, zgodzić się w lipcu na zawarcie pokoju w Indochinach na bazie uznania naszej niepodległości, naszej suwerenności narodowej, jedności i integralności terytorialnej.

Wielu naszych rodaków katolików zrozumiało nareszcie tę prawdę, ale niestety za cenę iluż cierpień i nieszczęść. Ci, którzy jęczą i płaczą teraz w „Obozach emigracyjnych” lub żyją na wygnaniu, eksploatowani do szpiku kości przez plantatorów kauczuku na Południu, porzucili swoje rodzinne wioski, swoje parafie, ponieważ zbyt nio zawierzili słowom proboszcza, swego duszpasterza, który wzywał ich do pójścia za owym słynnym sloganem amerykańskich imperialistów: „Trzeba walczyć z komunizmem, by uratować religię”.

Dzięki naukom wyciągniętych z doświadczeń w czasie długich i ciężkich lat wspólnej walki o niepodległość z całym naszym narodem ujrzelśmy całą prawdę i wreszcie mogliśmy wybrać słuszną drogę, która nas niewątpliwie zawiedzie ku pokojowi i szczęściu. I dlatego również, my katolicy wietnamscy, pojmujemy tak szybko i łatwo myśli wypowiediane w przemówieniach i w dyskusji przez naszych braci i siostry z Polski w czasie międzynarodowego spotkania katolików w Warszawie.

Opierając się na faktach i rzeczywistości walk patriotycznych w Wietnamie, spoglądając na wielkie i wspaniałe dzieło odbudowy realizowane w Polsce, katolicy wietnamscy dochodzą do przekonania, że największe niebezpieczeństwo dla katolicyzmu w dobie obecnej stanowią katastrofalne skutki tej tak jadowitej propagandy, która polega na wmawianiu nam, że doprawdy „Należy zwalczać komunizm, aby ratować nasz Święty Kościół”. Jesteśmy zdania, że propaganda ta ma na celu przygotowanie nowej wojny, jeszcze straszniejszej, w której agresorzy zupełnie otwarcie i bezczelnie będą nadużywać naszej religii dla zrealizowania swoich cynicznych zamierzeń: ujarznienia narodów. Dlatego też dla umocnienia pokoju musimy demaskować i podkreślać wsteczny charakter tej propagandy, która może przyczynić się jedynie do rozbijania naszego Świętego Kościoła. Czyniąc to, przyczyniamy się poważnie do zjednoczenia katolików na świecie dla obrony pokoju i zrealizowania nakazu naszego Zbawiciela „Miłujcie się wzajemnie”.

Zjazd katolików, zorganizowany w Warszawie z okazji dziesięciolecia Pax'u dla tej właśnie sprawy pracował.

Delegaci przybywający z Europy i z Azji mogli dokonać w Polsce obserwacji wielu ludziom dotąd nieznanych: stwierdziliśmy gorącą wiarę naszych polskich braci i siostr w naszego Zbawiciela, jak również ścisłość więzów łączących ich z całym narodem polskim w wielkim i wspaniałym dziele budowy i odbudowy narodowej.

Wymiana poglądów między różnymi delegatami na temat sytuacji Kościoła w różnych krajach wyjaśniła wiele zagadnień, które mogły wpływać bardzo ujemnie na jedność działania katolików na rzecz pokoju. Jedność poglądów delegatów zostanie niewątpliwie po owocnych debatach skonkretyzowana czynem. Przyczyni się do scentementowania jedności wszystkich katolików w walce o umocnienie pokoju w całym świecie dla szczęścia wszystkich narodów.



Rys. Gabriel Rechowicz

JOZEF SZCZAWIŃSKI

Trzy teatry

Akwarium

Kurtyna rozbiega się na boki
lub traci swoją ważkość.
Za szklaną taflą
reflektory pompują kolorową wodę.
Za chwilę z głęбини wypłyną słowa.
Uczucia zaczną przecinać światło
z góry w dół i na ukos.
Ryby o oczach pięknych i ślepych
odbijać się będą od ciemnego prostokąta rampy.
Ich pyszczki ułożą się w zdumienie,
które po tamtej stronie szkła
ma nazwę niepokoju.
Nie zarzucajcie wędkę do akwariów.
Nie złowicie ani radości, ani bólu.
A jeśli pęknie tafla światła,
utonięcie w zalewie pustki.

Transparenty

Ustawiono je w szeregu,
kazano łopotać bez wiatru.
Pracowite okłaski
nie strzepną z nich ani kruszyny świata.
Są jak głodne żagle,
gdy usypia powietrze
Są jak zblakane ptaki,
którym przycięto skrzydła kulisami.
Są jak osłupłe słowa —

potykają się o oczy wszystkich rządów.
Na ulicach trzepotały tłumem.
W czerwieni wspartą na drzewach łowiły radość.
Spinały wodę rozciętą mostami.
W trójskoku chwytaly trzy strony czasu.
Biedne transparenty.
Nierozsądny człowiek
powiązał je w supły i rzucił na scenę.
Przywołajmy nożyce kurtyny.

Zapałka

W obojętnie której odsłonie
aktor zapala papierosa.
Trzask zapałki zdmuchnął kulisy.
Płomyk mniejszy od portretu gwiazdy
rozświetla nieodkryte przestrzenie sceny.
Strużka dźwięku przenika widzów.
Są zaskoczeni własnym człowieczeństwem.
Postawiono ich w środku życia.
Stąd wspinają się myśli
po złote jabłko wzruszenia.
Spoza światła wystrzelają gesty.
Confetti oplatają wszystkie godziny ziemi.
Przez twarz artysty
falami przepływa ludzkość.
Ściany teatru nie powstrzymają już oddechów.
Widzowie minęli rogatki czasu,
przekroczyli własną samotność.
Teraz kłęczą przed osłoniętą kurtyną.

DM 159/002

Po opublikowaniu artykułu Zbigniewa Doleckiego pt. „Gdzie jest miłość na miarę Izoldy” (D. J. nr 42) redakcja otrzymała szereg listów polemizujących z tezami zawartymi we wspomnianym artykule. Z materiału tego staraliśmy się zebrać najciekawsze momenty, które — zdaniem redakcji — mogą z jednej strony poszerzyć zakres dotychczas poruszanych przez nas zagadnień, z drugiej zaś pozwolić również na wyjaśnienie niektórych wyników w dyskusji nieporozumień.

REDAKCJA

LIST pierwszy dotyczy sprawy „półśrodków”. Autora listu nie zadowalały wnioski wyciągnięte dotychczas z dyskusji na temat moralności. Piszemy między innymi: „W pierwszych artykułach były ostrożne, wprawdzie, niemniej jednak wyraźnie wzmiarki o dzieciach rodzących się w złych warunkach materialnych, o dzieciach nędznych i zaniedbanych, o trzylatkach nie umiejących mówić, o dwulatkach kołyszących się na krzywych nóżkach. O tym jeszcze, że kraj potrzebuje zdrowego dziecka i normalnej matki oraz że nie powinno być nikomu obojętne, w jakich warunkach przychodzi dziecko na świat. Była tam również mądra propozycja stworzenia komisji lekarsko - społecznych podlegających bezpośrednio radom narodowym — komisji o szerokich pełnomocnictwach, których zadaniem byłoby znalezienie najskuteczniejszych sposobów interwencji w sprawy poruszone przez wymienione na wstępie artykuły”.

Realista, bo tak jakoś ustawia się cytowany korespondent, odróżnia dalej szereg postulowanych „półśrodków” (literatura, ciekawsze formy rozrywek, filmy i znowu literatura) od konieczności zaaplikowania bardziej radykalnego leku. Czytelnika odayłam jeszcze do tego fragmentu drukowanego powyżej listu, w którym autor jego wspomina o „mądrej propozycji stworzenia komisji lekarsko-społecznych podlegających bezpośrednio radom narodowym — komisji o szerokich pełnomocnictwach, których zadaniem byłoby znalezienie najskuteczniejszych sposobów interwencji”. Czyli po prostu komisji zezwalających na przerywanie ciąży. Zdaniem korespondenta jest to jedyne, w każdym razie „najskuteczniejsze” rozwiązanie problemu.

Bowiem, jak będzie wyglądać — zapytuje on dalej — „realizacja cudownych środków (literatura, ciekawsze formy rozrywek, film — przyp. mój) w konfrontacji z życiem po dawnemu — jałowym i nędznym”.

Nie mam prawa wątpić w szczerść wyrażanych w liście poglądów. Więcej — przebijają z niego nie podlegająca dyskusji troska. Przy tym wszystkim jednak zastanawiać może krótkowzroczność autora w niedostrzeganiu najbardziej podstawowych konsekwencji, wpływających z zalecanych przez niego rzekomych środków uzdrawiających. O tej niekonsekwencji za chwilę.

Dziwna rzecz, że z taką małą odpowiedzialnością w swoim retorycznym zacietrzewieniu „realista” oceniając dziesięć lat życia naszego narodu — pisze o tym życiu jako o życiu „jałowym i nędznym”. Można by tę jego ocenę sprowadzić do niezamierzzonej zapewne ucieczki w sferę „półśrodków” zastosowanych dla sprzeciwiania własnych opinii. Śmieszek może na dodatek w podobnym kontekście zarzut notowany pod adresem „najwyższych autorytetów wychowawczych narodu, pisarzy i poetów”. „Im to — woła autor — płacimy najwyższy procent z dochodu narodowego (najprawdopodobniej

retoryczne nieporozumienie — przyp. mój) z własną krzywdą po to, by mogli w spokoju i beztrudnie o codzienny chleb tworzyć nowe, piękne i zgodne z prawdą dzieła”.

Tymczasem wszystko to, co w ciągu dziesięciu lat zrobiliśmy (nie tylko pisarze i poeci!) narażając korespondenta na... własną krzywdę (!) jest stare, złe, niezgodne z prawdą...

Trzeba się w tym miejscu zastanowić nad sprawą odpowiedzialności. Oto w tym samym liście dowiadujemy się o „jałowym i nędznym życiu”, żeby nieco dalej przeczytać taki fragment: „Nie chcemy kapitalizmu, nie tęsknimy do dawnych form społecznych, nie oczekujemy Andersa, ale chcemy, aby to wszystko co się pieczętuje socjalizmem i Partią nie było ostatecznym. — Aby pod te godne imiona nie podsuwano wykosławionych hasel, które nie mają nic wspólnego z socjalizmem ani Partią”.

Rzecz polega na tym, że autor nie dostrzega tego, co już zrobiliśmy! W każdym razie nie wspomina o tym ani słowem. A to już nie

WŁADYSŁAW LECH TERPŁECKI

LISTY W SPRAWIE MORALNOŚCI

jest zwykły chwyt publicystyczny. Widzimy trudności mieszkaniowe, dostrzegamy starania o podniesienie dotychczasowego poziomu życia, ale przy tym wszystkim dostrzegamy również fakt większej niż w innych krajach opieki nad dzieckiem ze strony państwa. Może dlatego, że w tym cierpliwie liście nie zanotowano powyższych spraw, postawa autora sprowadza się do postawy bardzo beperspektywicznej. Czy dlatego, że dostrzegamy te perspektywy w rozwoju życia społecznego autor może wątpić o wartości ludzi dyskutujących nad możliwościami naprawienia istniejącego zła?

I jeszcze jedno. Korespondent pisze: „Wychowawca w szkole, pobożnik od lawiny zarządzeń, przez dziesięć lat wykonywał przeście, musiał wykonywać te zarządzenia, czyli działał zawsze według wskazań z góry”. I dlatego, zdaniem autora listu, ponosi również „niezawinioną winę”. Co jednak autor uważa za owe wskazania „z góry”? Komu te wskazania mają służyć? Sprawa jest chyba znowu prosta. Czy nie służą po to, by wychować społeczeństwo wyzwolone

od zmyły „fabryk aniołków”. Gdzie tu jest jałowść!

Ta miara doceniania faktów i ich właściwej oceny nie sprowadza się do wniosków, które autor nazywa „sloganami”.

Równie poważny jest problem zalecanych przeciw demoralizacji i nieszczęściom społecznym środków zaradczych. To właśnie sprawa proponowanych „komisji lekarsko-społecznych”.

Nie wiem, w jakim stopniu „realistę” obchodzą zagadnienia naszego światopoglądu. List narzuca właściwie jeden tylko wniosek. Daleki od tego, jaki w podobnej sytuacji zająć powinni katolicy.

Dla katolików bowiem nie ma w tych sprawach żadnych półśrodków. Przerwanie ciąży — jest takim samym zabójstwem jak zabójstwo człowieka dorosłego. Przypuszczam, że wszystkim dyskutantom prawdę te należy ponownie przypomnieć. Są tacy, którzy określają stanowisko Kościoła jako „tragiczne paradoksy”. Prawda tkwiąca w tym pozornym paradoksie jest jedna. Katolicy widzą w swoim światopoglądzie ogromny szacunek i ogromną wiarę w życie. Nawet naj-

obywatelem”. Spora w tym doza szlachności.

Podobne zarzuty znajdują w następnym liście. „Zła charakterystyka dziewcząt, upraszczanie, czynienie z nich biernych, bezwolnych kukieł, lalek”... Wszystkie te moje „grzechy” wzbudziły w koleżankach autora listu (studenta KUL-u) bardzo nieprzychylny wobec mej osoby uczucia. Czytając między linijkami, mogę się łatwo domyślać, że w razie mojego przyjazdu do Lublina (biedna rodzino! — nie ujrzyś mnie z tego powodu — długo) mogą mi grozić poważne niebezpieczeństwa! Zarzyżartami. — Przyznając zasadniczo, że moja charakterystyka dziewcząt była płytką, uproszczoną (wycinkowa), bronie się jak najbardziej przeciw posadzeniu o przypisywanie cech wymienionych w artyku-

PISZAC swój artykuł o sprawach młodzieżowych pt. „Gdzie jest miłość na miarę Izoldy” (opublikowany w 42 numerze „Dziś i Jutro”) nie spodziewałem się, że wywoła on taki oddźwięk ze strony Czytelników. Myślę przede wszystkim o listach nadesłanych na adres redakcji.

W artykule moim starałem się poruszyć pewne problemy społeczne - obyczajowe znane mi dobrze z obserwacji, wykorzystalem też swoje własne - dosyć zresztą skromne - doświadczenia. Nie miałem ambicji, pretensji, do wyczerpania problemu, a raczej spłotu problemu. Jest on tak rozległy, że wątpię, aby go mogło ogarnąć pióro najwytrawniejszego publicysty, będącego jak najbardziej au courant omawianych przez siebie spraw. Niemniej jednak, mó-

A jeśli sprowadzi... istotnie — fakt ten — może być źródłem tragedii. Lecz wylaniają się tu od razu dwa aspekty sprawy: tragedia w sensie m a t e r i a l n y m i m o r a l n y m. Przerazony autor listu widzi przede wszystkim i wskazuje — tragedię w tym pierwszym sensie. Piszemy np.: „Dziewczynine zostaje tylko zarobek u innego chuligana te 2000 zł. („na operację”)”.

Pomijając już, że sam sposób rozwiązania sprawy jest dla katolików niedopuszczalny, razi mnie przesadny pesymizm autora. Żyjemy przecież w ustroju, w państwie zapewniającym pomoc i opiekę matce i dziecku, „nawet” nieślubnemu. To nie są frazesy. Oczywiście co pozostaje — i w tym wypadku solidaryzując się w pełni z „krzykiem o ratunek” autora — sprawa

le, wazystkim dziewczęta. m. Broń Bogu, nie zamierzalem uogólniac. Fragment ten posłużył mi tylko do udokumentowania zasadniczych tez.

Zarzut „sofistyki” pomijam. Jest tak niepoważny, że nie warto z nim polemizować. Pragnęłam napisać i — napisałam: nie zgrabny, wymierzony, „geometrycznie” budowany, pseudo-naukowy elaborat, lecz: żywy, gorący, a więc z natury rzeczy skazany na pewną chaotyczność, artykuł dyskusyjny.

Autorowi listu winienem wdzięczność, że zadany sobie przezeń trud przeprowadzenia (na jedenastu stronach!) drobiazgowej recenzji mojego artykułu; za wytknięcie błędów, ukazanie braków. Dziękuję mu za to, tak jak i innym Czytelnikom, którzy nadesłali swoje uwagi, sądy, zastrzeżenia...

Cieszę się, że sprawy, które poruszyłem, są tak bliskie Czytelnikom.

Zbigniew Dolecki

bardziej troskliwy lekarz, czy najbardziej dobrotliwy publicysta nie może wyrokować o przyszłości mającego się narodzić człowieka. Nie posiada do tego żadnych atrybutów.

Są środki regulujące nadmierny przyrost potomstwa, tam gdzie nie ma dostatecznych warunków materialnych na wychowanie dziecka. Środki polegające na regulacji pożycia małżeńskiego drogą częściowych wyzweń obojga małżonków.

Nie miejsce tu na dalszy wykład o szkodliwości społecznej, wypływającej z szeroko pojętych kompetencji proponowanych „komisji”. Pozornie błędne koło zaczyna się tam, gdzie dyskutanci zalecają wielką zaradczą rolę tzw. środków antykonceptyjnych. I tutaj dla nas sprawa jest oczywista. Ale jak niektórzy dobrotliwi publicyści postulujący tego rodzaju środki zapobiegają oczywiście wyuzdaniu seksualnemu, które m u s i b y ę skutkiem podobnej propagandy? Związczą jeżeli weźmie się pod uwagę dorastającą do tego problemu młodzież. Obawiam się, że nawet najpiękniejsze książki o miłości okazały się wówczas makulaturą nie mającą żadnego zastosowania w walce z przyjętym konsumpcyjnym stylem życia.

Tyle o skutkach. Już nie na marginesie cytowanego listu, ale pod adresem publicystów z prasy codziennej wysmiewających „kazania”.

W obszernym elaboracie („Tylko dla wtajemniczonych...”) — autor drugiej korespondencji zastanawia się nad jakąś nieodpowiedzialnością Zbigniewa Doleckiego, którą wyczuwał w jego artykule „Gdzie jest miłość na miarę Izoldy” („Dziś i Jutro” nr 42).

„Jeżeli mamy — stwierdza on — mówić o moralnym oddziaływaniu, o wychowaniu młodzieży, to sądzę, że właśnie winniśmy dyskutować podzieliwszy uprzednio młodzież na dwie fazy”. Autor listu dzieli następnie młodzież na dwie fazy: pierwszą (lata mniej więcej 14—17) i drugą (mniej więcej 17—21). Dolecki tymczasem zalicza do młodzieży ludzi dobiegających 27 lat!... Co za terminologiczna nieścisłość...

Zostawmy jednak te nienajważniejsze w wypadku zamierzonego szkicu publicystycznego dywagacje terminologiczne. Warto tylko przypomnieć, że niekiedy znajomość protokołów sądowych może być dla publicysty materiałem równie atrakcyjnym, jak dokładna orientacja w najnowszych podręcznikach psychologii.

Daleko ciekawsze są przemyslenia autora polemicznego artykułu, kiedy zastanawia się on nad błędami, jakie uczyniono w wychowaniu obecnego pokolenia. Jest to m. in. sprawa roli i wpływu, jaki na życie młodego człowieka może wywierać jego wychowawca. Problem, któremu na pewno w dyskusji o młodzieży należy poświęcić więcej miejsca.

Szkoda, że stosując zasadę polemicznych potyczek korespondent nie zajął się właśnie tą sprawą. Ostatecznie zarówno przy precyzyjnym ustaleniu faz rozwojowych (nikt przecież nie będzie polemizował z tak przyjętą i na pewno

sluszną zasadą!) — problem wpływu wychowawcy będzie również aktualny jak poprzednio.

Dyskusja zgromadziła dotychczas duży zapas publicystycznych refleksji, rzeczowych rozważań naukowców przy jednoczesnym bardzo nikłym udziale pedagogów, nauczycieli. Na pewno nikt nie może obawiać się jałowści podobnych przemysłów tym bardziej, że szereg pedagogicznych doświadczeń (podobno znanych polemikom) jest nieodwrotnym materiałem przy wyciąganiu wniosków.

Nie należy jednak zapominać o naiwności! Autorka jeszcze jednej dla przykładu wybranej polemiki z artykułem Doleckiego pisze: „Czyżby problematyka polityczno-społeczna przesłoniła u nas sprawy moralne? Czy może uważamy, że nie stać nas jeszcze na to, aby kształtować życie wewnętrzne przynajmniej młodego pokolenia, a potem załamujemy ręce nad chuligaństwem i „rozwydrzeniem” seksualnym. Myślę, że droga jest tylko jedna. Obok zapewnienia młodzieży za wszelką cenę troskliwe i umiejętnej opieki domu i szkoły upowszechniamy w literaturze, na scenie, w radio i filmie już istniejące, a starajmy się tworzyć nowe przykłady pięknych charakterów tak kobiecych, jak męskich. Uwzględniamy jak najszerzej problematykę małżeństwa, trudności i konfliktów uczuciowych, i moralnych oraz sposoby ich rozwiązywania. Z drugiej strony umożliwiamy młodzieży i nie tylko młodzieży kulturalne kontakty poza salą wykładową, biurem czy fabryką przy uwzględnianiu warunków mieszkaniowych uniemożliwiających często te kulturalne kontakty. Twórzmy kluby akademickie międzyuczelniane, klubowy-kawiarnie jak np. klub pracowników służby zdrowia w Polanicy-Zdroju z czytelnią międzyrodowej młodzieży, i prasy, kawiarnia, dancinglem, interesującymi wieczorami dyskusyjnymi”... itd. itd. Wszystko to słyszeliśmy już dziesięć razy i poza przypomnieniem oczywistych, aż nazbyt oczywistych, spraw — nic więcej. Tymczasem w dyskusji na temat młodzieży doszukiwać się trzeba przede wszystkim nowych, precyzyjnych i wyczerpujących postulatów. Zalecanie nawet najciekawszych wieczornic poetycznych — sprowadza się do bezustannego dreptania w kółko.

Powinniśmy przy tym zastosować dwa dosyć zasadnicze rozróżnienia. Pierwsze jest to sprawa zła, które wypływa z niedostatecznego spełnienia obowiązku wychowawczego w domu i szkole. Tutaj zagadnienie odpowiedzialności jest odmienne i na pewno również ważne, jak w drugim wypadku, gdzie chodzi o młodzież starszą i gdzie metody wychowawcze muszą być, rzecz jasna, inne.

Jedną bardzo ważną refleksję nasunęły mi owe trzy listy. Nikt z ich autorów nie zastanawiał się nad sprawami odpowiedzialności wynikającej wobec wszystkich ludzi wierzących z przyjętego przez nich światopoglądu. Nikt nie zaprzeczył również, że sprawa moralności, czy jak kto woli, jej upadku i metod zaradczych — kwalifikuje się do rzędu spraw pierwszorzędnych w chwili, kiedy rozstrzygać je trzeba we własnym sumieniu.

KS. VO THANH-TRINH

Moje wrażenia dotyczące katolicyzmu w Polsce

AGENCJE prasowe i prasa krajów kolonialnych jak również katolickie konserwatywne dzienniki naszego kraju podtrzymujące Ngo-Dinh - Diema w rodzaju przeglądu „Życie”, wydawanego przez Wikarię w Phat Diem w roku 1953 rozprzestrzeniały dużo fałszywych wiadomości o sytuacji katolicyzmu w Polsce Ludowej. Oto kilka przykładów spośród całego szeregu innych. Głoszą one, że w Polsce duszpasterze: biskupi, księża, zakonnicy czy zakonnice są prawie wszędzie aresztowani, internowani, torturowani i uśmierceni; wierni świątcecy są zsyłani do obozów koncentracyjnych

nich i brutalnie męczeni; piękne, wielkie kościoły są zamknięte lub też bywają zajmowane dla zakwaterowania w nich komunistycznych żołnierzy.

Pragnęłam zawsze mieć osobiste okazje przybycia pewnego dnia do Polski — kraju, o którym wiem, że jest bardzo katolicki — dla zwiedzenia go. I oto właśnie dziesięć lat temu, w Warszawie dało nam tę sposobność. W czasie naszego pobytu w Polsce, który trwał więcej niż dwa tygodnie, mogliśmy dzięki szlachetnej uprzejmości naszych przyjaciół z „Paxu” zwiedzić wiele terenów i zobaczyć dużo rzeczy. Mamy obecnie bardzo dokładne wyobrażenie o sytuacji katolicyzmu w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, budującej socjalizm. Nie licząc wielkiej liczby kościo-

łów i kaplic rozsiansych wśród najbardziej odległych wiosek i rozrzuconych po miastach, które widzieliśmy na trasie naszej podróży, mogliśmy zwiedzić w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Stalinoogrodzie i Wrocławiu olbrzymie i wspaniałe kościoły, całkowicie odrestaurowane i odbudowane z pomocą rządu i narodu polskiego. Zbudowaną została wielka stalinoogrodzka katedra, której konsekracja miała miejsce 26 października br.

W niedzielę i w dzień świąteczny odprawiane są jedna za drugą Msze święte od 6 rano do południa i na każdej Mszy św. osoby uczestniczące w nabożeństwie i przystępujące do Komunii św. napełniają wszystkie kościoły. O każdej porze dnia, gdy wchodziliśmy do jakiegoś kościoła widzieliśmy w nim dużą ilość mę-

czyn, kobiet i młodzieży — kłęzących czy siedzących — i odprawiających modlitwy bądź różaniec lub adorujących z budującą żarliwością Przenajwiększy Sakrament. To co podziwiam najbardziej i czego nie przestaję chwalić to fakt spotkania w kościołach bardzo skupionych chłopców i dziewczynek, zachowujących się nienagannie podczas nabożeństw. Jeśli praktyki religijne kwitną i odbywają się zgodnie z właściwie utrzymywaną dyscypliną to dlatego, że katolicyzm polski obfituje w gorliwych, oddanych księży, w żarliwe zakony religijne, które sumiennie spełniają swe apostołskie zadania. Nawiązałem kontakt z dużą ilością proboszczów i wikariuszy parafialnych, z wiernymi, ze znaczną liczbą księży rektorów i profesorów seminarów. Wszędzie nasi bardzo sympatyczni bracia mówili mi z dumą o katolickim działaniu polskiego kleru i osób świeckich. Każda dieceza posiada wiele małych i wielkich seminarów, które każdego roku dają całej Polsce setki nowych księży.

Akademia Teologii Katolickiej w Bielanach, Katolicki Uniwersytet w

Lublinie i Instytut Katechizacji w Trzebnicy sprawiają, że wierzymy w sytuację religii katolickiej, gdzie zawsze pomyślna. Obdarzeni zdolnościami ludzie wychodzący z tych ośrodków religijnego wychowania będą wybitnymi bojownikami rozwoju katolicyzmu w Polsce. Ekscelencja ordynariusz i wikariusz kapitulny Wrocławia, któremu mieliśmy zaszczyt złożyć wizytę, powiedzieli nam, co następuje: „Nasze kościoły i kongregacje religijne jak seminaria i klasztory doznały pod nazistowską okupacją podczas wojny wiele szkód i wiele z nich zostało prawie całkowicie zniszczonych, ale szlachetna pomoc rządu ze jednej strony, z drugiej zaś czynna wiara naszych rodaków — zarówno inteligencji jak i robotników — przyczyniły się w znacznym stopniu do odrestaurowania i odbudowy katedr, kościołów i innych budynków, służących do wykonywania obrzędów religijnych.

Wobec takiej rzeczywistości i biłających w oczy dowodów my — przybywszy z zagranicy — wyciągamy wniosek, że w Polsce kościół

katolicki posiada warunki rozwoju, że chrześcijaństwo w tym kraju kwitnie. Jest to świadectwem czynnej i budującej wiary naszych drogiej polskich i katolickich braci i sióstr jak również ich wielkiego patriotyzmu i miłości do Pokoju.

Żyjąc w społeczeństwie bardziej sprawiedliwym i miłosiernym, w którym wolność wyznania i religii jest przez rząd formalnie zagwarantowana — katolicy polscy mają warunki materialne i moralne dla jednoczenia się w wierze, na łonie Świętego Kościoła Rzymskiego, sformowanego przez naszego Ojca Świętego — Papieża.

Ci, którzy nadstawiają ucha na propagandę kolonialistyczną występującą przeciw katolicyzmowi w Polsce przewracając się przez swe postępnę machinację zmierzające do podziału narodów, podziału katolików i nie-katolików i to dla niegodnego celu: niszczytelkiej wojny i zagarnięcia siłą władzy.

Nasz czas jednak nie sprzyja kłamstwu: wcześniej czy później fałszywa propaganda zostanie zde-maskowana a prawda i słusna sprawa zatriumfuja,

Współczesność w poetyckim kostiumie



Jerzy Zawieyski w otoczeniu młodzieży KUL

1

WSWOIM klasycznym już dzisiaj wykładzie o zjawisku tragiczności, Max Scheler dowodził, że nieodłączną cechą tego zjawiska jest „smutność”, stan, który dzieli od zwykłego smutku nastroj powagi, niemal dostojności wobec spełniających się ostatecznych ludzkich przeznaczeń. U pisarzy, którzy sami nie stworzyli tragedii, lecz często pochylali się nad tajemniczą i kuszącą tonią tragedii greckiej — owa „smutność” przedostaje się do ich twórczości, przybiera często postać zadumy nad zagadką życia ludzkiego. Po lekturze poetyckich dramatów Jerzego Zawieyskiego pozostaje smak dojrzałego, twórczego smutku ze specyficznym odcieniem żalu. Być może jest on nieodłącznym cieniem prawdziwej sztuki. Gdy Orestes, bohater jednego z dramatów Zawieyskiego, ścigany przez Erynne uchodził z Argos, droga jego biegła wzdłuż dwu rzek: rzeki żalu i rzeki daremnie przelanej krwi. Ale obie te rzeki, według wieszczby Pyrladesa, nie zdążyły w stronę słonecznej Arkadii, omijały ją, płynąc w kierunku nieuniknionej konieczności oczyszczenia człowieka z jego win.

Wiele postaci z dramatów tego autora poznało gorzki smak rzeki żalu. Znalazł się nad jej nurtami król — artysta Dawid, który chciał zmierzyć głębie ludzkiej samotności, oraz Tyrteusz, zwycięski wodz i pokonany poeta. Nad brzeg rzeki żalu ściągają ludzie, którzy zaznali klęski, którym przecieki między palcami sens życia i działania, którzy zbłądzili. Znajdzie się nad jej brzegiem również „niezwyciężony” Herakles, heros, bezsilny wobec samego siebie; on zanurzył się w jej nurcie już po śmierci, zanim woda z rzeki zapomnienia odbierze mu pamięć świata i doznanej porażki. Tylko Sokrates, bohater prawdziwy, pozostanie od niej daleki, jego śmierć jest właśnie dopełnieniem zwycięstwa, decydującą próbą jego mądrości i człowieczeństwa. Wzdłuż rzeki żalu idą ludzie, których życie zmęczyło ciężarem swej zagadkowej struktury, którzy odegrali w nim jak w sztuce jedną z ról i zdają sobie sprawę z jej fałszywego „ustawienia”. Ale jakie było ujęcie prawdziwe, w którym miejscu decydowała wola ludzka przeciwstawiając się woli bogów, gdzie przebiegała granica pomiędzy czynem niezawinionym a przekroczeniem norm moralnych — tego dokładnie nie wiemy, jak przystało na bohaterów, których owiało powietrze tragedii greckiej. Noszą jeszcze w sobie poczucie niewidzialnej ręki przeznaczenia, związujące ich wypadków i wyznacznym ich następstwem w czasie — ale sami już do tragedii nie należą, w większości posiadają już nasze dusze, umysły chwiejne i refleksyjne. Gdyby nawet mogli powrócić — nie odnależliby już wspólnego języka ani z ludźmi poruszającymi się na scenie greckiej, ani na prymitywnym podium średniowiecznego teatru misteryjnego. Mąż doskonały z ziemi Uz, Hioab, czuły się tam bardzo nieswojo, podobnie jak Orestes odnalazł w Orestesie z Aj-schylosa jedynie dalekiego kuzyna, ich słowa nie przekazywałyby zrozumiałych wzajemnie treści. Dlatego spełniając swój własny los — pozwalają się unieść nurtowi czasu, który wyrzuca ich na brzeg XX

wieku. Pozostaje jednak na nich kostium: grecki, egipski lub babiloński.

2

NIE zamierzam pisać o całej twórczości dramatycznej Jerzego Zawieyskiego, byłby to temat wystarczająco obszerny na tezę doktorską. Samo ograniczenie miejsca narzuca konieczność selekcji. Dlatego pozostawiam na uboczu psychologiczne i obyczajowe sztuki pierwszych lat powojennych, „Rozdroże miłości” (1946), „Ocalenie Jakuba” (1947), „Miłość Anny” (1948), nie cofnę się do dramatów przedwojennych, do „Dyktatora” (1934), „Powrotu Przełęczkiego” (1937) i „Prawdziwego życia Anny” (1939). Sztuki te, jedne doskonale, inne po prostu udane lub interesujące nie odbiegają zasadniczo od znanej nam konwencji realistycznej, „trzyaktowej” sztuki współczesnej, wprowadzają jedynie nowe lub odnalezione w nowej powojennej sytuacji historycznej problemy i konflikty. Mam wielu świetnych twórców tego typu dramatu i Zawieyski stanął w dosyć długim ich szeregu. Nie tutaj należy szukać oryginalności jego dramaturgii. O niej decyduje poetycki, metaforyczny dramat Zawieyskiego, który śmiało można by przeciwstawić podobnym zjawiskom w europejskim teatrze współczesnym. Dramatem otwierającym tę serię sztuk jest „Mąż doskonały”, oryginalnie wykorzystany przez dziesięcioletniego dramaturga misteryjno-moralistowy typ widowiska. Po nim następuje dramat oparty na temacie biblijnym „Pieśń o nadziei” (1948) i trzy sztuki „greckie”: „Sokrates” (1950), „Niezwyciężony Herakles” (1952), „Lament Orestesa” (1953). Dzieje dotychczasowej twórczości Jerzego Zawieyskiego zamykają dwa, nie opublikowane jeszcze dramaty: „Rzeka niedoli” (1954), na nowo odczytana biblijna historia Jakuba i Putylarowej, oraz „Tyrteusz” (1955), być może najdoskonalszy pod względem literackim utwór tego autora.

Podobno istnieje zasada niedozwalamca mówić krytykowi o utworach nieznanach jeszcze publiczności. Wydaje mi się jednak, że dramat jako rodzaj literacki tej zasady się uchyla. Jest to właściwie scenariusz literacki przedstawienia i dopiero na scenie otrzymuje swoją pełną postać artystyczną. Dramat „nie ma obowiązku” ukazać się w postaci książkowej, jak powieść czy zbiór wierszy, powinien natomiast przejść próbę sceny. I jeżeli w tekście tego szkicu odwołam się do tych nie drukowanych jeszcze sztuk, to dlatego, że moim zdaniem, należy mówić o dramatach, które tej decydującej próbie nie przeszły, do których ma wgląd jedynie krytyk lub kierownik literacki teatru.

Odrębność i rewelacyjność na gruncie polskiego teatru Zawieyskiego jest bezsporna. Scena nasza przechodziła liczne pokusy naturalizmu, psychologizmu, nawrotów romantycznych — ale poetyckiej umowności i intelektualnej metaforyczności było i jest na niej niewiele. Na tle współczesnej dramaturgii europejskiej sztuki Zawieyskiego też nie zajmują pozycji bez znaczenia. To przecież one wraz z dwoma dramatami Leona Kruczkowskiego są jedynymi dziełami powstałymi po wojnie w polskiej literaturze dramatycznej, które mogą wieść filozoficzną i artystyczną dyskusję ze sztuką Zachodu. Wystarczy przecież powiedzieć, że Zawieyski stworzył dramat poetycki, a równocześnie głęboko intelektualny, filozoficzny. Poetycki — ponieważ posługuje się bogatą meta-

foryką, niepokoję i problemy ludzi współczesnych każe odnajdywać w postaciach poprzekierowanych w kostiumy z odległych epok, posługuje się pięknym językiem o bogatej skali dźwięku, wrażliwości plastycznej, choć bynajmniej nie najłatwiejszym w odbiorze. Intelektualny — ponieważ u Zawieyskiego „poetyckość” nie służy samej sobie, nastroj nie został wywołany dla nastroju, gra pojęć dla samej błyskotliwości szermierki słownej. To, co wyróżnia dzieło Zawieyskiego z całej niemal dramaturgii współczesnej — to właśnie połączenie poczucia poezji ze zdyscyplinowaniem intelektualnym. Cały skomplikowany warsztat poetycki służy temu, aby najpełniej, najdoskonalej wyrazić myśl nadrzędną. Poezja wprzęgnięta w „dobrowolną” służbę filozofii. Pod tym względem dramaty „greckie” Zawieyskiego mogą służyć jako wzór, przede wszystkim „Niezwyciężony Herakles” i „Tyrteusz”, gdzie oszczędność literacka dochodzi do granicy osiągniętej przez twórców. Ani jednego zbędnego słowa, „tylko i jedynie” poetyckiego. Sama sztuka, która staje się myślą, i myśl, która staje się poezją. Może zbliżone wrażenie odnosi się czytając „Antygone” Anouilha lub „uwspółcześniającą” adaptację „Edypa-Króla” dokonaną przez Cocteau, który z tekstu Sofoklesa pozostawił surowy szkielec intelektualny, przemawiający jednak trudną poezją tragizmu.

Dialog, który obserwujemy w „Mezu doskonalym” pomiędzy Elohimem, wysłannikiem Nieba, a Cudzoziemcem, lub pomiędzy Hioabem a Cudzoziemcem, ukryty, toczy się dalej w następnych dramatach Zawieyskiego. Dialog pomiędzy wzruszeniem, pomiędzy przeżyciem szczęścia i cierpienia, bólu i radości — a chłodną analizą umysłową, pomiędzy poezją — a rygorami intelektu leży u podłoża poetyki dramatycznej Zawieyskiego. Być może, będzie to zbyt wielki przeskok myślowy, ale tak jak tragedia Hioaba rozgrywała się z jednej strony „podtrzymywana” hymnem Elohima, a z drugiej przyjmowana sceptycznym uśmiechem „faustowskiego” Cudzoziemca, podobnie między tymi dwoma biegunami: poetycką afirmacją a intelektualnym zwątpieniem, które gotowe byłoby każde zjawisko poddać próbie — mieści się dramat Zawieyskiego.

ELOHIM: W kraju Uz zakwitnie także życie. Spójrz, rośliny wypuszczają pędy.

CUDZOZIEMIEC: No, to wiadomo, że popiół użyźnia ziemię.

Na rzeczy należy patrzeć z obu stron. Bo prawda jest, że pierwsze, świeże pędy wyrastające z rumowisk ziemi Uz znaczą dla Hioaba wielką drogę ocalenia i prawdziwa jest gorzka uwaga, że to popioły użyźniły ziemię. Tylko ta dialektyka może uchronić historię Hioaba od tego, aby, według słów Cudzoziemca, nie zamieniła się w „klamliwe piękno”.

Czy można dramaturgię Zawieyskiego „powiązać” z wielkim dramatem stworzonym przez katolików na Zachodzie? Z Claudelem, twórcą gigantycznego, poetyckiego i symbolicznego równocześnie teatru, w którym do bogatej tkanki intelektualnej trzeba przedzierać się poprzez barok poetyckiej ornamentacji? Z Montherlantem? Ale Montherlantowi nie obce są pokusy modernizmu i „historyczizmu”, daleki jest od poetyckiego teatru. Nie tworzą go również ani Mauriac, ani Gabriel Marcel, łączący filozofię z niemilą konwencją naturalistyczną,

wiele na tym. Właściwy dramat dzieje się wewnątrz, reszta to umowne rekwiizyty. Dlatego nie w twórczości Claudela, Montherlanta, Elliota czy uczniów Pirandella należy szukać powiązań z dziełem Zawieyskiego. Artystycznie najbliższy jest mu na pewno poetycki i kameralny dramat Giraudoux, może niektóre z dramatów Anouilha. Będąc im bliski swoją kameralnością, umownością, poetyckością — jest od nich nieskończenie daleki swoją filozofią, widzeniem człowieka i świata. Ale właśnie pomiędzy tą bliskością a oddaleniem mieści się ogromna współczesność dramaturgii Zawieyskiego wraz z jej polemicznym ostrzem.

3

ZAWDZIĘCZAJĄC wiele współczesnym dramaturgom francuskim — Zawieyski stawca równocześnie z nimi wielką bitwę. Stacza ją przede wszystkim na kartach swych „greckich” dramatów: „Sokratesa”, „Lamentu Orestesa”, „Tyrteusza”, „Niezwyciężonego Heraklesa”. Stacza ją z dziełem Giraudoux, Cocteau, Anouilha, Sartre’a, Camusa. Stacza ją z egzystencjalizmem. Któż inny podjął się u nas tego zadania, choćby w części?

Ludziom ze współczesnych, metaforycznych sztuk francuskich — Zawieyski przeciwstawił swoich ludzi, ubranych w greckie stroje. Uczynił słusznie, bo przecież i tamci ludzie od dawna w nie zostali przybrani. Nie zapominajmy, że „klucze filozoficzne” we współczesnym dramacie francuskim przynosiły właśnie „greckie” sztuki. Kto wie, czy o André Gide nie mówi pełniej jego „Król Edyp” od innych utworów? O Giraudoux jego „Elektra”, program egzystencjalistyczny Sartre’a został najpełniej ułożony w jego „Muchach” (własnej koncepcji aj-schylosowskiej Orestei), niektóre jego myśli, ujęte nieco inaczej odnajdujemy w „Antygonie” Anouilha. Kostium grecki służy świetnie wszystkim dla wyrażenia wszelkich myśli. Dotknięcie wielkich tematów tragicznych podnieca fantazję i intelekt. Grecy, którzy nie znali łatwej afirmacji życia w sztuce, nadają jej świetnie na patronów filozoficznego dramatu współczesnego. Francuzi nawet adaptując prozą poetyckie teksty tragiczków greckich wykorzystywali to jako okazję do zakomunikowania swych własnych uwag o świecie. Zakonczenie adaptowanego w r. 1925 „Króla Edypa” przez Jean Cocteau brzmiał jak program pesymistów z okresu przedegzystencjalistycznego, wapiących w konstruktynny sens świata, którym rządził bogowie, złośliwe istoty bez serca.

EDYP: Cierpie! Niestety, gdzież jestem, dokąd zmierzam mój los?

CHÓR: W przepaści bez dna, niemożliwej do zgłębienia, niemożliwej do objęcia wzrokiem.

EDYP: Czyż jestem nocą? Nocą głęboką. Jestem królem, który stał się nocą...

CHÓR: O, Tębańczycy, spójrzcie na Edypa. Przenikał tajemnice. Był królem. Kochał i kochano go. Padł powalony.

Nie mówicie nigdy, że człowiek jest szczęśliwy, zanim nie odwrócił się jego ostatnia karta.

Słowa te powracają do mnie gdy czytam „Lament Orestesa” Zawieyskiego. Tutaj również zamknięcie się ostatniej karty Klitajmnestry umożliwia rozpoczęcie procesu. Nad nią i nad Orestesem.

Czytając ten dramat po „Muchach” i „Elektrze” wydaje się, że autor celowo rozpoczyna go w miejscu, w którym kończyły się tamte

obronę mej matki, którą wygłosiła Helena. Już po zabójstwie myślałem, w ciągu wielu dni i wielu nocy, że matka była nieszcześliwa. I niewinna! Czy nie należało powiedzieć matce, biedna, nieszcześliwa, niewierna... „Nie załatwia niczego czyn dokonany dla samej zemsty, dla spełnienia zawieszanej w próżni jakiejś czystej idei sprawiedliwości jak w „Elektrze” Giraudoux. Orestes odchodzi wzdłuż rzeki daremnej zemsty. Zabijając matkę zabił samego siebie.

Nie tą drogą odchodzi Orestes z dramatu Sartre’a. Ten młody, nieśmiały chłopiec, który przybywa ze słonecznej Arkadii, dojrzewa właśnie poprzez tę zbrodnię. Staje się pełnym niejako człowiekiem poprzez swój wolny wybór, swój czyn, który uznal za słuszny. Jest wolny, może nawet przeciwstawić się woli bogów. „Spoglądacie na mnie, mieszkańcy Argos, zrozumieście, że zbrodnia ta należy do mnie, przysięgam ją sobie, jest ona moim sensem życia, moją dumą... Jesteśmy połączeni przez krew i zasługuję, aby być waszym królem”. Nie zostaje jednak królem. Odchodzi, opuszczony przez wszystkich, ale wolny, odpowiedzialny za siebie. Samoltny — ale taka jest przecież „dola człowieka”.

— „Cóż z tego” — zdaje się odpowiadać Sartre’owi Zawieyski — przyznawanie sobie wolności, z dumy ze swych czynów; coż z tego, że mienimy się niezależnymi, skoro w nas samych legną się Erynne, skoro proces, jaki rozegrał się wobec Orestesa, odbył się już wcześniej, w duszy Orestesa i Elektry. My sami wiemy, że nie każdy czyn nas tworzy i nie każdy czyn nas wyzwała. Czysta, absolutna wolność ludzka jest fikcją. Nosimy w sobie wycięcie dobia i zła, prawdę i fałsz, piękna i brzydoty, chociaż po omacku szukamy granic rozdzielających te pojęcia. Niemniej znamy je i pragniemy według nich ocenić nasze czyny i świat. Czy możemy się uwolnić od samych siebie?”

4

WSWOIM świetnym essay’u drukowanym w 1948 r. w czasopiśmie „Teatr” Zawieyski napisał: „Stawiam tezę, której chciałbym dowieść, że wielką twórczość dramatyczną rodzi się na przecięciu walki o świat wartości, jakimi żyje epoka”. Wydaje mi się, że dowód Zawieyskiego jest o tyle cenniejszy od innych, że też swoich dowodów własną twórczością. Niemniej i inne prognozy tego artykułu spełniły się: twórczość dramatyczna międzywojennego polskiego i europejskiego pisarstwa oddaliła się od nas. Nie podobna by już dzisiaj karmić się stałe intelektualną grą sztuk Giraudoux czy Cocteau, oddalił się drwiący Shaw, awet Szaniawski — mistrz nastroju, wskrzeszony niedawno na naszych scenach jest w mniejszym stopniu zrozumiały Wojna „postarzyla” widzów wewnętrznie, zmusiła do myślenia, ale nie tylko to, kazała szukać odpowiedzi na najważniejsze pytania: jakim wartościom i ideom zawierzę, jaki obraz świata uznać za słuszny i prawdziwy. Powiedzenie Sartre’a, że każdy człowiek wybiera i akceptuje swoją własną moralność jest frazesem i nikomu jako program życiowy służyć nie może.

Gorgiasz z dramatu Zawieyskiego „Sokrates” mówi: „O co walczyleś przez całe życie i o co będziesz jutro walczył? O coś, Sokratesie, co nie istnieje. Bo nie istnieje żaden byt, ani ten zewnętrzny, ani ten wewnętrzny. Jeśli jednak coś ist-

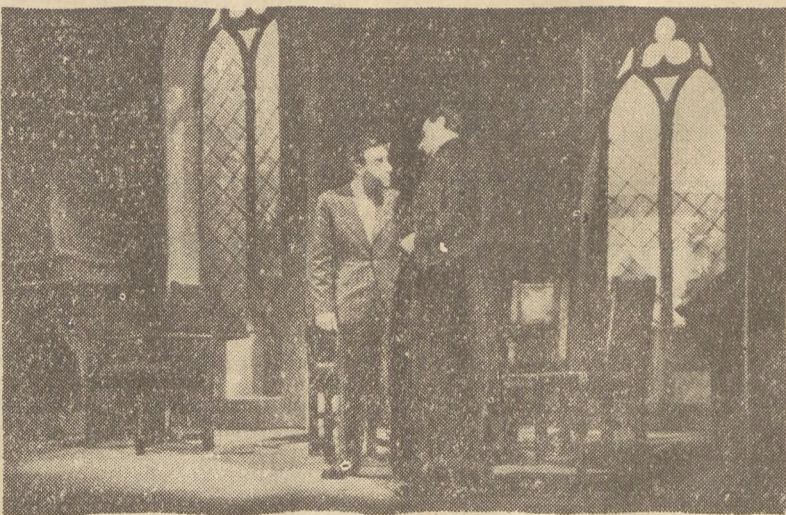
mordowało — Zawieyski odpowiedział: nowy ład świata można budować poprzez zarliwie poszukiwanie prawdy, a nie poprzez dowodzenie, że wszystko jest złudą i pozorem. „Myśl idzie do innych przez pomost słowa, ale ten pomost zawieszony bywa nad przepaścią, jaka rozdziela człowieka od człowieka”. Porozumienie pomiędzy ludźmi musi się oprzeć na świadomości, że przepaść nie jest nie do przebycia. Ten dziwny dramat, jakim jest „Sokrates”, choć dotyczy wydarzeń historycznych, jest niemniej poetycki i metaforyczny niż inne. Mówi przecież o sprawach współczesnych, przynosi słowa, jakich właśnie oczekuje publiczność dzisiejszego teatru. Przechodzi przez niego front dyskusji.

— Ale odczytując „Sokratesa” nieodparcie przychodzi mi na myśl inny dramat powstały po wojnie, mianowicie „Juliusz i Ethel” Leona Kruczkowskiego. Mimo wszystkie rozbieżności i różnice, w jednym punkcie przebiega wspólna nit — w obu dramatach ludzie swoją śmiercią dowodzą prawdziwości swej postawy, umierają właśnie dlatego, że nie wątpili w sens życia. W obu dramatach mają furtkę, z której skorzystać nie mogą. Sokrates może po prostu uciec — ale tym przekreśli swoją godność mędrca i obywatela Aten. Któż by uwierzył w jego naukę o poszukiwaniu ładu w życiu wewnętrznym i społecznym, skoro wygnalby go z kraju właśnie ów ład, czyli prawo? Juliusza i Ethel może uratować zwykły telefon, przyznanie choć częściowe do winy — ale ktoś by uwierzył w ideę, której sami nie potrafili być wierni? Prawda wymaga ofiary, gdyż tylko ona może być dostateczną próbą wierności. „Sokrates” został napisany przez katolika, „Juliusz i Ethel” — przez komunistę — dwie na wskroś społeczne próby tradycji, w których odbywa się owa walka o świat wartości. Ta walka ich właśnie łączy.

5

DRAMAT poetycki Zawieyskiego powstał w przedśionku tragedii, przenika go nastroj jej bliskości, czuje się w nim jej oddech, bicie jej serca. Nie chciałbym być źle zrozumiany: to nie znaczy, że reprezentuje stanowisko niższe w hierarchii wartości. Powstał przecież na zasadzie odmiennej umowy literackiej i w inny sposób przemawia do widza. Chociażby dlatego nie oczekuje wcale, aby wszedł do przybytku tragedii. Ale to sąsiedztwo daje znać o sobie, jemu jawią się nasz klimat „wielkości” tych sztuk, obecność w nich zjawiska wielkiej, oczyszczającej klęski. Bo przecież ona właśnie staje się u Zawieyskiego istotą dramatu. Niemal każdy z jego bohaterów musi spojrzeć w inne oblicze ludzkiej klęski. Inny jest upadek wielkiego króla Dawida i inna jest porażka Heraklesa. Wielki, mądry król Dawid zostaje powalony uczuciem do Betsabei, porzuca Boga, pozostaje sam. Gdy pochłonięty uczuciem do cudzej żony spostrzeże nagle, że nieco zatracił się nad nim, ułoży wówczas, jak mówi autor, pieśni o dumie i o odwadze samotności. I glebia tej samotności będzie równocześnie miarą jego klęski. Wielkość i nędza człowieka, jakby powtórnie odkryte, po śladach Pascala.

Inna jest klęska Tyrteusza, poeta postawionego wobec prawdziwej tragicznego dylematu: czy wypróbować siłę swej poezji, a więc zniszczyć sprawiedliwych mścycieli, czy też przeciwstawić się woli bogów. Jeszcze inna jest klęska Hio-



Scena z „Rozdroża miłości” — Kraków

najskuteczniej zabijającą wszelką poezję. T. S. Eliot? Autor „Mordu w katedrze” stworzył na pewno znakomity teatr poetycki, ale jest on bardziej poetycki niż intelektualny, wywodzi się z odmiennych tradycji. Ugo Betti? Ale tutaj dochodzimy do pirandelloowskiej tradycji dramatu psychologicznego na naturalistycznym tle mieszczańskiego wnętrza. Nie tutaj należy więc szukać literackich związków.

Zawieyskiemu obce są wszelkie pokusy monumentalizmu i naturalizmu. Jedyń raz spróbował pojąć tą drogą pisząc wielki obraz z przedostatniego aktu dramatu Chrystusa Pana pt. „Przed Sadem”, ale nie osiągnął zamierzonego celu. Najbliższy jest mu typ poetyckiego, filozoficznego i kameralnego dramatu. Nawet jeśli jako tło zjawia się u niego wielka scenaria Starożytności, nie przejmujemy się tym, „Pieśń o nadziei” czy „Mąż doskonały” można by wystawić doskonale po wla... bez dekoracji i „realizm”, jedynie z tem m... zycznym i sztuki te nie straciłyby

sztuki, aby tym wyraziście przeciwstawić swoją koncepcję. Gdy podnosi się kurtyna u Zawieyskiego — Orestes spełnił już swą zbrodnię. Tamte krwawe zdarzenia powracają już tylko we wspomnieniach i w wielkim pośmiertnym procesie Klitajmnestry. Zginęła wraz z Agistosem, teraz można zapytać, czy była szczęśliwa, czy była winna, czy trzeba było ją zabić, czy dokonanie tej zemsty było aktem rzeczywiście koniecznym? Oskarża Elektra, broni Helena, żona Menelausa. „Była podła, zła, zamordowała mojego ojca, Agamemnona wraz z kochankiem” — woła Elektra. „Była nieszcześliwa, samotna, opuszczona przez męża, który przegnał na ofiarę jej ukochaną córkę, Ifigenię, piętnaście lat męczyła się po dokonaniu swego czynu” — broni Helena. I nagle Elektra, która żyła samą nienawiścią, która nienawisć „tworzyła” jak Elektra sarbrowską, doznaje uczucia, że wszystko dokonało się na próżno i niesłusznie. Do tego wniosku dochodzi również Orestes: „Wierzę, Elekto, w



Jerzy Zawieyski po premierze „Rozdroża miłości” w Krakowie

nialo — nie możemy tego poznać. A coś, co jest poznane przez jednego choćby człowieka nie udzieli się drugiemu jako wiedza... To, czego nauczasz jest pustą zabawą, by dotrzeć do prawdy. Nie ma żadnej prawdy, synu Sofroniska, uprzywilej jej tropicielu! Za co chcesz ginać Sokratesie, za pozory, za złudzenia, za wytwory i majaki własnych błędów?” Oto słowa z dramatu, który rzucił największe pytanie współczesności.

Gdy uprzednio, pięć lat wstecz, widzowie teatru Starożytności w Krakowie ujrzeli na scenie „Męża doskonałego” byli przekonani, że Zawieyski wypowiedział wtedy rzeczy najistotniejsze i najbliższe, bliska im była próba wytłumaczenia ogromu cierpienia, przez które musieli przejść. Na ruiny ziemi Uz patrzone poprzez zgłiszczą Warszawy. Ale wojna oddaliła się, nadeszły nowe problemy, na jakich podstawach budować pokój? Problem ten stał przed całą Europą. Pisząc dramat o człowieku, który nie przestał wierzyć w prawo, mimo że go za-

ba — ale ta odbiega zbyt daleko od typu klęsk poprzednich, aby można było umieścić ją w tym samym rzędzie. „Mąż doskonały” jest jedynym dramatem w dorobku Zawieyskiego, w którym bohater jest właściwie statystą dokonujących się wydarzeń, sam nie wybiera, ale przyjmuje dokonany wybór Niebios. Może zgodzić się jedynie na nieszczęśliwa, które na niego spadają, może usiłować odnaleźć w nich sens. Bez jego przeciwieństwa trawa poczęła się podnosić ze zgłiszcz, a natura spustoszonego ogniem podnosić się do życia. Ale Hioab jest wyjątkiem, na nim właściwie kończy się statyczna koncepcja człowieka. Ludzie, którzy po nim nastąpił dokonują świadome wybory.

Właśnie w tym dramacie wyboru kryje się i katolickość i nowożytność. (Dokończenie na str. 4)

O RÓŻNYCH DZIWNOŚCIACH LITERATURY

STEFAN LICHĄSKI

KIEDY poeta zaczyna mówić o poezji, można być pewnym, że w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto zjedzie wcześniej czy później na własną poezję. Uprościłoby się jednak zagadnienie zbywając ten fakt starym porzekadłem na temat liszki chwalcącej swój ogonek. Oczywiście, zawsze nas interesują najbardziej sprawy własne i najbardziej leży nam na sercu własna pomyślność, ale nie należy tego faktu interpretować w duchu płaskiego materializmu praktycznego, dybającego wyłącznie na dorazne i ściśle prywatne korzyści. Każda jako taka rozgarnięta i posiadająca odrobinę kultury moralnej istota ludzka odczuwa jako „własne” wiele rzeczy i spraw pozapersonalnych i ponadosobistych, dla dobra których umie się narazić na bardzo dotkliwe czasem przykrości. Tak jest i z poezją. Zapewne, że poeta publikując swoje utwory zaspokaja w jakimś stopniu chęć imponowania bliżnim i wywierania na nich wpływu, ale nie zapominajmy, że traktując swoje pisarstwo poważnie (a tylko o takich nam w tej chwili chodzi) poświęca on mu wiele czasu, siły i zdrowia, rezygnuje z wielu innego rodzaju przyjemności i ambicji, a wreszcie i jego pragnieniem rozgłosu kieruje — poza pobudkami czysto egoistycznymi — również pragnienie zainteresowania odbiorców problematami nieraz bardzo doniosłymi, które zaabsorbowały go i wciśnęły mu pióro do ręki. Jeżeli więc poeta, zaczawszy od poezji w ogóle, przechodzi do rozprawiania o własnej poezji, nie ma w tym nic niewłaściwego czy kompromitującego. Za jego słowami stoją w takim wypadku rezerwy, jakich dostarcza żywe, konkretne doświadczenie. One stanowią siłę takiego wywodu, są jego ciałem i krwią.

Nie myślę też atakować Stanisława Grochowiaka za to, że w swym eseju, a raczej manifestie poetyckim „Poezja i zdziwienie” („Dziś i Jutro” nr 44 z br.) przemycza w partiach poświęconych udziwnianiu w poezji apologię własnej twórczości. Jeśli mi się coś w tej historii nie podoba, to właśnie to, że autor przemycza, że nie mówi wprost: ja pojmuję poezję właśnie tak a tak, a moje wiersze są próbami realizacji tego ideału i tak powinniście

je czytać. To byłoby otwarte postawienie sprawy i bardzo ułatwiłoby wymianę zdań. Nasi pisarze „twórczy” nie odczuwają jednak potrzeby ani autoreferatu, ani też auto-krytyki. Co najwyżej czasem pisują oburzone listy do redakcji, że ktoś tam dopuścił się obrazy wiążących. Zależy im tylko na kadzidłach, merytorycznych rozmowach na temat swego pisarstwa boją się jak ognia.

Grochowiak nie uważał się na generalnie i otwarcie stawiający sprawę autoreferatu i dlatego właśnie zagadnienie bardzo zagmatwało. Zamiast mówić wprost o sobie, wystąpił jako rzecznik rozmaitych niebotycznych pryncypów oraz impoderabiliów i wyrzwał płomienną tyradę w stylu i duchu Brzozowskiego. Poruszył w niej istotną i godną szczegółowszego rozpatrzenia sprawę ideologii w literaturze, chociaż poruszył ją w sposób zbyt ogólnikowy i z położeniem akcentu na doping moralny pod adresem pisarzy, a nie na poważne, śmiałe i et studio przeprowadzone badanie tej kwestii. Zagadnieniu ideologii trzeba by poświęcić większą rozprawę, na co mnie w tej chwili nie stać. Zajmę się więc tym razem wyłącznie problemem dziwności w literaturze.

Grochowiak spłótl ściśle te dwa odrębne zagadnienia, bo zależało mu na obronie i uzasadnieniu własnej poetyki. Ponieważ sam z tego rodzaju kłopotami nie potrzebuje się liczyć, zabiorę się do sprawy z całkiem innej strony. Zaczę od sprostowania pewnych nieporozumień, które zakradły się do eseju Grochowiaka. Chodzi mi mianowicie o mieszanie rzeczy najzupełniej różnych i mówienie jednym tchem o deformacji w malarstwie, konwencji w teatrze, bezpojęciowości w muzyce i „udziwnianiu” w poezji. Ta terminologiczna płaćnina, jaką uraczył nas Grochowiak, spowodowana została nierozróżnieniem pojęć takich, jak „konwencja”, „deformacja” i „dziwność”. Zastanówmy się trochę nad tymi określeniami.

Konwencje to normy obowiązujące

w danym rodzaju sztuki, stanowiące jego *principium individuationis*. Niektóre z nich, jak wykazuje praktyka, mają charakter obiektywny (np. nieistnienie „czwartej ściany” w teatrze, którą usiłovali wprowadzić naturaliści), inne (np. rytm w poezji) są wytworem określonej sytuacji historycznej i z jej zmianą mogą zaniknąć lub stracić dawną doniosłość. W każdej jednak chwili istnieje aktualny układ owych konwencji, który decyduje o charakterystycznym dla epoki i środowiska pojmowaniu sztuki. Artysta może się przeciw tym konwencjom buntować jak najbardziej ostro i zdecydowanie, ale nie zmienia to faktu, że ich zespół stanowić będzie stałe i niezmiennie (oczywiście, względnie stałe i względnie niezmiennie) tło jego działalności i dostarczać współczesnym przesłanie do oceny jego dzieł.

Ponieważ nie było, nie ma i być nie może sztuki nie poddanej takim czy innym konwencji, konwencje zaś wykluczają możliwość stworzenia w dziele totalnego i w pełni wiernego obrazu konkretnie przeżywanego rzeczywistości, wobec tego wypada nam uznać deformację za obiektywną i charakterystyczną cechą wszelkich dzieł sztuki. Moglibyśmy teraz powiedzieć, że chociaż sposoby deformowania obrazu świata zmieniają się zależnie od epoki i środowiska, to sama zasada deformacji jest konwencją niezmienną, o ważności obiektywnej, obowiązującą wszystkich artystów. Czyż zaś deformacja nie jest udziwnieniem świata, czyż nie powoduje ona wyraźnie dostrzegalnego dystansu między jego obrazem stworzonym przez artystę a tym, który mamy właśnie przed oczami? Zgoda na to, ale przy tak szerokim rozumieniu terminu „udziwnienie” treść jego staje się dość mglista i — biorąc rzecz praktycznie — nic z niego więcej nie wydobędziemy poza niezwykle rewelacyjnym i nowym stwierdzeniem, że artysta widzi świat inaczej niż nie-artysta.

*

Nie o tego rodzaju oczywiste, ale zupełnie jałowe mądrości chodziło Grochowiakowi. Z artykułu jego

jasno wynika, że nie tak ogólnikowo pojmowane „udziwnienie” ma on na myśli, ale „dziwność” odczuwającą przez odbiorcę jako oszałamiającą i zachwycającą niezwykłością i nowością dzieła. Teraz sprawa rysuje się wyraźniej. Grochowiak znalazł się na chwilę w orbitcie działania teorii estetycznych St. Ign. Witkiewicza, ale chyba tylko przypadkowo, bo potrafiłszy strunę, która zabrzmiiała jakby echem wywodów Witkacego o Czystej Formie i dziwności istnienia (historia o kropkach na szybko, przez opis których można jak najpełniej wyrazić swój stosunek do świata czy nawet wszechświata), przeszedł do bezpośredniego moralizowania i nauczania. Pamiętajcie, ludkowie: w zawartości utworu jak najwięcej ideologii, ale wyraz, żeby do takiej zawartości pasował, musi być jak najbardziej uniezwykły, nowy, odkrywczy — byle tylko nie niweczył komunikatywności, nie stawał się nazbyt hermetyczny. Tak to naucza Grochowiak. Mówiąc językiem szkolnych stylistyk: chodzi o poważną i bogatą „treść” przybraną w piękną, sugestywną i bardzo niezwykłą, bardzo udziwnioną „formę”. Ten program to wręcz antypody Witkiewiczowskiego formizmu. Przynajmniej na pierwszy rzut oka (dominantą utworu „treść”, „forma” jedynie sposobem podawania „treści”).

*

Spójrzmy teraz na to zagadnienie od strony czytelnika i spytajmy, kiedy w jego mniemaniu utwór literacki zasługuje na miano dziwnego. Przede wszystkim wtedy, kiedy jest zupełnie lub choćby częściowo niezrozumiały; następnie wtedy, kiedy autor uniezwykłą przedstawienie literackie stosując różne przemysłne chwyt konstrukcyjne, posługując się wyrafinowanym stylem, odbiegającym bardzo od powszechnie przyjętego sposobu opowiadania się; i wreszcie wtedy, kiedy czytelnika zaskakuje nowość czy to problematyki, czy też widzenia świata, dostrzeżenie w nim rzeczy niby to znanych lub pospolicznych, ale w tym właśnie ujęciu pokazanych w sposób zaskakujący.

W wypadku pierwszym, jeżeli pominiemy niezrozumiałość wyprzedzających swoją epokę prekursorów, a więc niezrozumiałość podpadającą właściwie pod trzecią z ustalonych przez nas kategorii dziwności, mówić należy raczej o dziwactwie powodującym zasadniczą nieczytelność utworu. Takie udziwnienie spowodowane jest albo nieudolnością realizacyjną autora, albo też zasadniczą mglistością czy nawet niedorzecznością jego pomysłów. Tego rodzaju dziwność nie wywołała w nas entuzjazmu. Dziwność osiągnięta przez uniezwyklenie form wypowiedzi wzbudza również poważne wątpliwości. Przypuszczamy bowiem (i zwykle nie bez racji), że autor albo mało miał do powiedzenia i chciał to ubóstwo ukryć pod sztukateriami stylistycznych ozdóbek i w konstrukcyjnych łamańcach, grając na snobizmie czytelnika, albo też dawał ujście własnemu snobizmowi oryginalności i awangardowości ludząc się, że biedne i płaskie jego myśli staną się bystre i głębokie, gdy się je wyrazi przy pomocy wielopiętrowych metafor. Ta dziwność sztucznie robiona jest jeszcze gorsza niż dziwność-dziwactwo, gdy ludzi pozorami zewnętrznej oglądy literackiej, blichtrzem czysto powierzchownej kulturalności snobów i epigonów. Dla tego typu dziwności proponowałbym nazwę „udziwnianie”, gdyż jest to

dziwność zamierzona, robiona czasem na siłę, dziwność-maniera. Dziwność właściwa, bardzo cenna i ważna, występuje tam, gdzie literatura anektuje nowe, niezbadane dotąd obszary rzeczywistości zewnętrznej lub wewnętrznej, pokazuje nowe relacje i konflikty międzyludzkie, projektuje nowe formy myślenia i działania. Nowość wyrazu jest w tym wypadku ubocznym produktem walki o jak najbardziej dokładne i precyzyjne przekazanie swej wizji poetyckiej czytelnikowi. Czytelnika może zaskoczyć i zainteresować najpierw właśnie dziwność wyrazu, jego niezwykłość i osobliwość. Jeżeli jednak nie poprzestaje on na wrażeniach czysto naskórkowych, odnajdzie poza dziwnością fasady jej gwarancje treściowe. Może je przyjąć albo odrzucić, to już jego rzecz, ale musi podjąć z nimi rozprawę merytoryczną, a nie wydziwiać nad „barbarzyństwem” stylu, „zagałtawianiem” konstrukcji itp. „wadami” utworu, które mogą być z punktu widzenia swojej roli w tym właśnie tekście jak najbardziej na miejscu.

*

Czy ta dziwność wyrazu, uzasadniona nowością zawartości zagadnieniowej utworu, musi się nieodwrotnie łączyć z maksymalnym w stosunku do gustów epoki nasileniem deformacji? Odpowiedź na to pytanie jest jedna: może, ale nie musi. Dziwnością renesansu odcinającą się od tła późnego średniowiecza, podobnie jak dziwnością realizmu zmagającego się z dogorywającym romantyzmem, było właśnie zrezygnowanie ze skonden-

kające stąd próby deformacji idealizująco-lakierniczej. Próba natomiast przeformowania tezy o konieczności „udziwniania” zawiodła, bo zawsze musiała. Najlepszym lekarstwem na realizm staczający się to ku prymitywizmowi reportażu, to znów ku wylizanej gładkości reklamowanego afisza jest wielki realizm, a nie żadne udziwnianie i eskapizm. Dziwność w sztuce ma rację bytu wtedy, gdy jest naturalna i niezamierzona, gdy stanowi dodatkowy zysk odkrywczych wypraw w „ziemię nieznana” świata zewnętrznego albo ludzkich psychik. Dziwność zamierzona, założona z góry, pachnie zawsze blagą i pretensjonalnością.

*

Chociaż — zróbmy tu małą poprawkę, już choćby ze względu na to, by uniknąć zbyt „pedagogicznego” zakończenia tych rozważań. Istnieją przecież rodzaje literackie, których główną formą jest dziwność, dziwność mocno podkreślona, przeciwstawiona codziennej normalności ludzkiego bytowania, dziwność stanowiąca formę wewnętrzną, zasadę organizującą utworów tej kategorii. Literatura dziwności ogarnia krąg bardzo szeroki: należą do niej np. bajka, groteska, farsa, melodramat, powieść niesamowita i fantastyczna, romans sensacyjny i awanturyczny, parodia, dowcip. Jest to jednak dziwność nie merytoryczna, lecz wynikająca z charakteru tego typu literatury. Jest ona elementarna i zasadnicza konwencją wspólną tym wszystkim rodzajom, choć przejawia się w nich bardzo rozmaicie. Dziwność tę trzeba przyjąć jako założoną z



Rys. Gabriel Rechowiec

cjonalizowanych deformacji, a w realizmie wystąpiła nawet ambicja maksymalnego zbliżenia artystycznej konwencji przedstawieniowej do potocznego oglądu rzeczywistości. Merytoryczna dziwność sztuki, uzasadniona i zdetronizowana potrzebami treściowymi, nie wiąże się bynajmniej w sposób konieczny i nieodwrotny z potrzebą uniezwyklającej obraz świata deformacji.

Nie wiąże się, ale także — powiem na poczekę Grochowiakowi — deformacji tej nie wyklucza. I dlatego za bardzo cenną i ważną uważam jedną z podstawowych, choć nie wypowiedzianych *expresis verbis* tez szkicu Grochowiaka, którą sformułować można by następująco: realistyczna wiedza pisarza o rzeczywistości nie implikuje w sposób konieczny posługiwania się realistyczną konwencją przedstawieniową. Podkreślam słowo „w sposób konieczny”, aby uniknąć podejrzenia o propagowanie eskapizmu, nadrealizmu czy neoekspresjonizmu. Zresztą sam Grochowiak (a z nim także ja) zgłasza protest przeciw deformacji idealizującej, trafnie dostrzegając w niej pokusę do wygładzania kantów rzeczywistości, do landrynkowej stodyczy zablagojującej realne kłopoty i konflikty. I to chyba jest w eseju Grochowiaka najważniejsze: zgromadzenie psychologicznych danych podważających mocno tezę o konieczności bezwzględnej prymatu w piśmiennictwie współczesnym realistycznej konwencji przedstawieniowej oraz trafne zwrócenie uwagi na obiektywną niemożność wyłącznego stosowania tej konwencji i na wyni-

góry, „przedustawną”, bo inaczej w ogóle gra się nie zaczyna. Żeby jednak tę dziwność — konwencję, dziwność — formę przetworzyć na dziwność — znaczenie, dziwność-treść, trzeba nadać jej poważniejszą uzasadnioną i gwarancję merytoryczną, jak to robią np. Stevenson, Chesterton czy nasz Stefan Kisielewski „Zbrodnia w dzielnicy północnej”.

Grochowiak jako poeta ciąży ku owej dziwności — konwencji i nasyca nią swoją lirykę. To właśnie jest jego szansa. Szansa tym większa, że zawędrował on do tego *Schlaraffenlandu* fantazji własną drogą, a nie śladami choćby tak bliskiego swego poprzednika jak Gałczyński. Rzecz w tym, czy ta wyprawa opłaci mu się intelektualnie i artystycznie i czy uda mu się uniknąć wszelkich niebezpieczeństw Bardzo Dziwnego Kraju, jak np. owa pułapka na słonie, którą przygotowali Kubuś Puchatek i Prosiaczek.

Redaguje Zespół
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartał 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 tel. 840-11 (5) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe Zakład Historii i Literatury Wskładowe RSW „Prasa” w Warszawie Marszałkowska 1/5. Zam. 2627 B-6-14710

Współczesność w poetyckim kostiumie

(Dokończenie ze str. 3)

wczesność dramatu Zawieyskiego. Kłeska, która powala bohaterów dramatu Zawieyskiego, różni się od kłeski — apogeum tragedii greckiej. To nie jest kłeska króla Edypa, który uchodzi zmiażdżony wolą Losu, podwójnie ślepy, zamknięty w swym błędzie, to nie jest kłeska Orestesa, niemal igraszką w rękach bogów. Zawieyski, zapożyczając niektóre konflikty ze świata mitologii czy literatury greckiej równocześnie jako chrześcijanin polemizuje z ich rozwiązaniami. Kłeska człowieka w jego dramacie nie jest jedynie bezużyteczną wypadkową sprzecznych sił. Jest ona, albo przegraną w jednej z szans wyboru, jak u Orestesa, poddaniem przemożnej sile namiętności, jak u Heraklesa czy króla Dawida — lub wreszcie wyborem, który oznacza zwycięstwo moralne, jak w wypadku Sokratesa. Jego śmierć jest ofiarą i potwierdzeniem własnej idei. Sokrates dlatego właśnie poddaje się prawu i umiera, aby móc je zrewolucjonizować. Wybór jego jest prawdziwie chrześcijański, to właśnie chrześcijanie przyjmując zastane zasady życia, równocześnie odmieniali ich treść wewnętrzzną. Kłeska „materiałna” a niemal na oczach widzów — mienia się w jego triumf.

To prawda. Ale Sokrates jest mędrcem, widzi dalej niż inni, ogarnia szersze horyzonty. Reszta bohaterów Zawieyskiego należy do świata ludzi zwykłych, omylnych, miotających się pomiędzy sprzecznymi dyalematami.

...To ludzie tłumaczą przecież słowa wyroczni delfickiej. Czy nie myliła się nigdy? Bogowie nakazali, aby Tyrteusz swą pieśnią powiódł wojsko do ataku przeciw Messenie. Ale przecież bogowie są po obu stronach, nie tylko po stronie Sparty! Tyrteusz dokonuje wyboru: idzie za głosem wyroczni. Prowadzi wojsko do boju. Messena pada. Ukochana Herakleja, córka tej ziemi błąkać się będzie wśród żałuszek. Ale Tyrteusz wie równocześnie, że ani on, ani nikt inny nie miał prawa użyć sztuki do roli zabijania, że niesłuszne było żądanie, któremu się podporządkował. Jakbyśmy słyszeli słowa Alfreda de Vigny: „Je suis prêt à mourir pour le roi et pourtant sa cause est mauvaise” (Gotów jestem umrzeć dla króla, niemniej sprawa, o którą walczę jest niesłuszna). Nawet bogowie nie mają prawa żądać za pośrednictwem ludzkich usi, aby zabijać poezję, gdyż — słyszy się to w niedopowiedzeniu — Bóg by tego nie żądał.

Ale Zawieyski wie równocześnie, że z kłeski wyrasta zwycięstwo, że popioły użyźniają ziemię. Kłeska moralna Tyrteusza jest równocześnie

zwycięstwem jego poezji, sztuki w ogóle, to ona zdolna była opanować serca prostych ludzi, żołnierzy i powieść ich do boju. W tym alegorycznym dramacie chodzi nie tylko o artystę, który rozporządzając tak wielką siłą musi dokonywać sprawiedliwego wyboru. W tym również stercza się główny sens „doli człowieka” — to człowiek musi szukać swego jedynego, słusznego wyboru, który określi jego miejsce i rolę w świecie.

* * *

Od napisania „Meża doskonałego” upłynęło jedenaście lat, wystarczająco to obszerny szmat czasu, aby móc dokonać koniecznego przewarstwienia poetyckich dramatów Zawieyskiego. Bynajmniej nie stawiam ich wszystkich na tej samej płaszczyźnie, nie uważam za jednolicie doskonałe pod względem artystycznym. Odczytywany dzisiaj „Mąż doskonały” razi figuralnością i statycznością swego bohatera, stąd też dramat ten traci na swej pełności. „Pieśń o nadziei” wydaje się szczególnie wiele odkrywać słabości w porównaniu z dziełami powstałymi później, chociażby z doskonałym, surowym „Sokratesem” — za wiele w niej „miękkości”, półciężkości, półtonu, ściszonego chórowo, brząkania harfy, śpiewów anielskich. Wydaje się nieco XIX-wieczna w

tym nagromadzeniu operowych akcesoriów, „Lament Orestesa”, głęboki intelektualnie, postawia równocześnie pewien niedostatek artystyczny. Umuje nas bogactwo wypowiedzianych myśli, ale nie można na tej samej płaszczyźnie umieścić formy ich literackiego ujęcia. Szczytowym osiągnięciem teatru Zawieyskiego jest dla mnie „Sokrates”. Ten niewątpliwie poetycki dramat imponuje swoją prostotą, surowością, niekiedy nawet intelektualnym chłodem. Aura wielkiego nastroju, jaka zdaje się okrywać ten utwór, pochodzi „od wewnątrz”, przynosi ją wymowa moralna wydarzenia i bogactwo duchowe bohatera, a nie muzyka, efekty plastyczne, czy dobor pięknie brzmiących słów. Drugim osiągnięciem jest na pewno „Niezwyciężony Herakles”. Z rzeczy nie opublikowanych drukiem i niegranych: „Tyrteusz”, na wskroś nowoczesny dramat, nazwany przez autora komedią, zadziwiający swą zwięzłością, jakąś klasyką konstrukcji. Na widzów, którzy z pewnością będą mogli urzec ten nieprzeciętny utwór na scenie, oczekuje moc nowych przeżyć — niech nie zdziwią się, że odnajdą współczesne problemy pod powłoką greckiego stroju, bo przecież wielka przenośnia leży u podstawy poezji i sztuki w ogóle, od niej zależy to „trudne piękno”, które najdłużej pozostaje w pamięci odbiorców. Konrad Eberhardt

NOWOCZESNOŚĆ I REALIZM



Współczesne poczucie statyki: nie ma obawy; tej konstrukcji nie trzeba podtrzymywać murami z cegieł. Stadion w Madrycie — projektował Torroja

NIE ma nic bardziej bezpłodnego niż pisanie o dobrej architekturze — chyba budowanie złej architektury. Dla kogo się ją buduje? Dla ludzi. Ludzom się podobno podoba. Ludzie jej potrzebują! Któż to wymyślił ten perfidny absurd? Kto w niego wierzy? Wystarczy posłuchać, co mówią prości i nieprości ludzie o warszawskim stadionie. Jego „bezystylowość” jest najlepszą gwarancją współczesności.

Właśnie o tej stylowości chciałem pisać. Nie istnieje nic takiego, co można by nazwać „stylem nowoczesnym”. Zdefiniowanie tego określenia pozostawmy historykom architektury za pół wieku. Architektura nowoczesna jest żywa — nie da się jeszcze sklasyfikować. Można wybrać kilka czy kilkanaście cech zasadniczych, którymi odznaczają się współczesne budynki — ale to będą cechy, a nie styl.

Maniera, moda i absolutna hegemonia klasycyzmu i secesji w polskiej architekturze ostatnich lat grozi — oprócz samego faktu zamknięcia naszych miast eklektycznymi kamienicami i pałacami — chorobą doktrynerskiego myślenia. Architekci przyzwyczajeni do schematu, jeśli nawet porzucą dotychczasowy sposób projektowania — będą mieli skłonność do szukania schematu także w innych gatunkach architektury. Przykład podobnego zjawiska widzieliśmy ostatnio w plastyce. Precz z naturalizmem. Precz z kopiowaniem. Robimy wystawę młodych, wystawę prawdziwą. A co na tej wystawie? Dużo kopii. Nie tak łatwo ludziom przyzwyczajonym do prowadzenia — i ulegania — znaleźć swój własny autentyczny język.

Między Corbusierem a Wrightem

i poza nimi jest dużo wolnego miejsca. To jest miejsce na pracę, na nowatorstwo, na poszukiwania. Poszukiwanie jest zawsze ryzykowne; czasem się nic nie znajduje. Czy potrafimy w trosce o polską architekturę zapewnić architektom prawo poszukiwania; czy potrafimy zgodzić się z ryzykiem? Szczerze musimy sobie powiedzieć, że wiele interesujących, a nawet świetnych budynków na Zachodzie pobudowano dzięki temu, że prywatny inwestor nie obawiał się ryzyka. Budynek, który wydawał się nowatorski i zbyt odważny — oceniano za kilka lat jako cenny wkład w rozwój architektury. Czy dzisiejsi inwestorzy, czy dzisiejsze komisje potrafią przy architektonicznej ocenie projektu zdobyć się na sąd niezawężony do anulujących się wzajemnie opinii i upodobań poszczególnych członków? Czy w końcu każdemu projektowi nie grozi doprowadzenie do monotonii, miernoty, bezosobowości? To jest poważny problem i od niego w znacznym stopniu zależy nasza architektura. Nie wystarczy jeszcze odważne i świeże projekty. Te projekty muszą zostać zatwierdzone. A Wilde kiedyś sarkastycznie stwierdził, że „jeszcze żadna komisja nic nie uchwaliła; chyba że składała się z trzech członków, z których jeden był chory a drugi nieobecny”.

Pośród kilku cech, którymi odznacza się współczesna architektura — podstawową są nowe środki techniczne, nowe środki konstrukcyjne. W ciągu kilku czy kilkunastu miesięcy niemal wszyscy się z tym zgodzili (co za niespodziewany postęp; co za odwaga). Nie można jednak zapominać, że te nowe środki kształtują u odbiorcy nową estetykę, nowe poczucie statyki, nowe współczesne poczucie piękna.

Współczesność nie polega tylko na tym, że ściany budynku są gładkie, a okna podłużne. Stosowany obecnie w biurach projektowych proceder „oczyszczania” dawniej projektowanych elewacji ze zbędnych — dzisiaj — szczegółów dekoracyjnych — to nie jest żadna droga do uwspółcześnienia architektury. To w dalszym ciągu maszerowanie hurmą w takt grającej muzyki. Wszędzie tam, gdzie nie ma żelaznych kanonów, gdzie te kanony się tworzy — prymat musi mieć pomysł, koncepcja. Ona jest genezą nowoczesnej architektury. Projektując klasycystyczną szkołę architekt włącza program budynku jak ciasto w ściśle określonej formie. Wypiekało się symetryczny pałacyk, dorabiała pilastry podwójne czy pojedyncze — ale to oprócz rozwiązania rzutu nie miało nic wspólnego z myśleniem. Architektura współczesna zmusza i wymaga myślenia. Tu cudów nie ma. Albo ktoś ma inwencję, albo może sprzedawać koszuły czy kalessony.

Prawie wszystkie budowane u nas większe gmachy posiadają konstrukcję żelbetową. Ponieważ od pięćdziesięciu lat wiadomo, że żelbet pozwala na całkowite wyeliminowanie murów nośnych, bardzo często w nowoczesnych budynkach parter jest przeszklony, czy częściowo otwarty dla uzyskania podcieni czy pasażu. Okazało się jednak, że u nas jest to niemożliwe, ponieważ razi wrodzone rzekomo poczucie statyki. I tak smukłe żelbetowe kolumny obdukuje się ciężkim masywnym murem z cegieł. Ma to być piękne, praktyczne, nie mówiąc już o szalonej oszczędności materiału. Podobno jak ludzie widzą grubymur nabierają ufności, są spokojni, ich poczucie statyki jest zaspokojone. Bardzo możliwe, że za czasów Kazimierza Wielkiego grube mury budziły spokój i dawały gwarancję bezpieczeństwa. Dzisiaj budzą uśmiech politowania nad naiwnością czy tępotą architekta. Coś z tym poczuciem statyki jest nie w porządku.

Czy naprawdę pomoże coś pogrubianie żelbetowych kolumn w CDT. Wierzę, że dla wielu architektów szczytem marzeń byłoby zamurowanie ścian CDT przyzwyczajonym ceglany murem, z okienkami jak w gołębniku; ale czy to jest naprawdę marzenie wszystkich mieszkańców Warszawy? Cokolwiek można by o CDT powiedzieć — jedno jest pewne, że posiada charakter magazynu, domu towarowego. I pewne jest, że w swojej współczesnej, choć kosmopolitycznej architekturze lepszy jest od wszystkich kamienic MDM. Jest z pewnością równie niepolski

w charakterze jak i one — ale wykorzystuje w rozsądny sposób nowe możliwości konstrukcji.

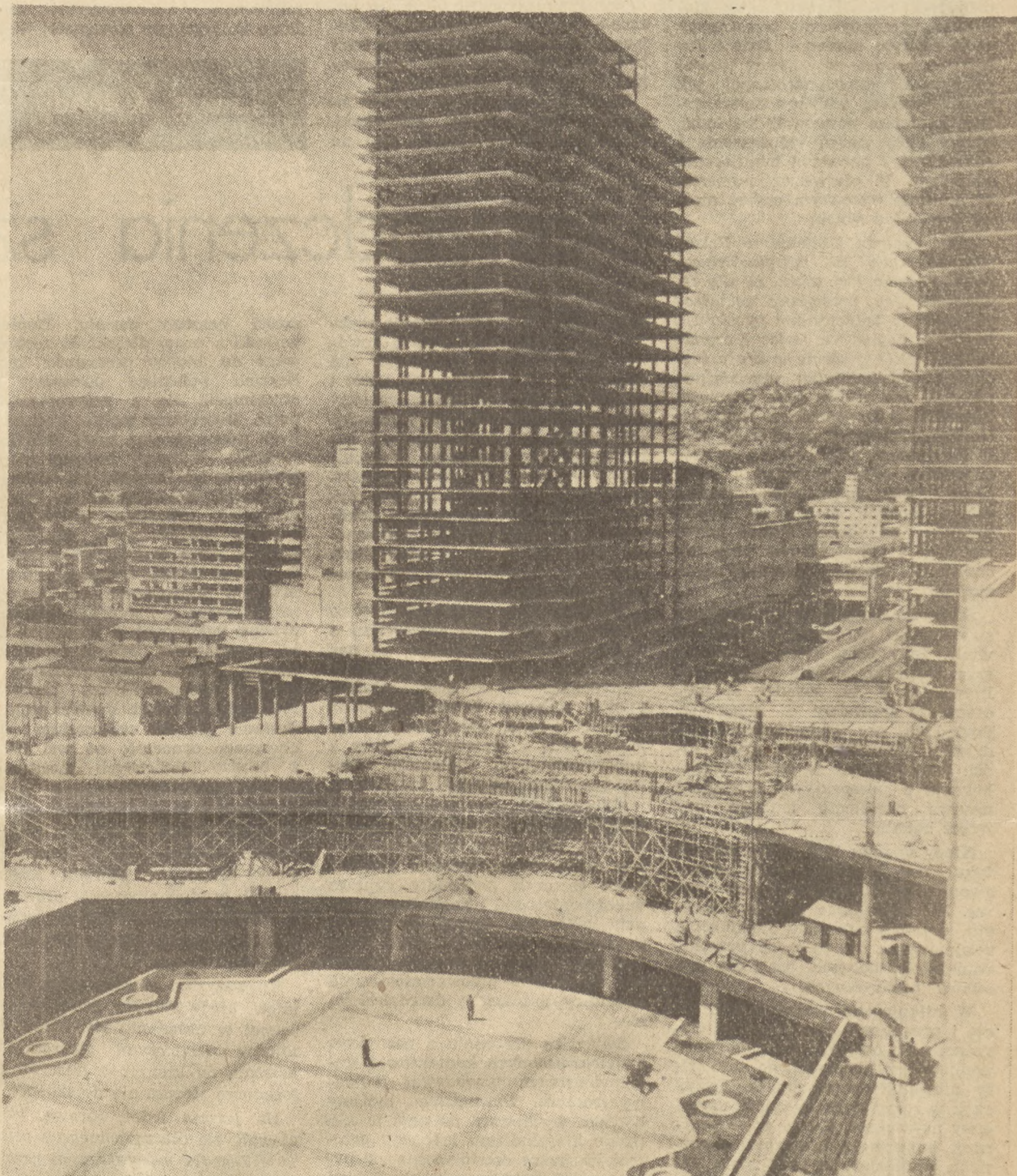
Okazuje się, że slogan pocucia statyki jest po prostu zamaskowaną niechęcią do wszystkiego, co ma jakąkolwiek więź ze współczesnością. CDT stojący na żelbetowych słupach drażni wielu wielbicieli eklektyzmu, wielbicieli palm i pluszowych kanap. Drażni ich nawet to, że nadproże czy prześwit nie jest łukiem, ale prostą żelbetową belką. Pierwszy z brzegu przykład: przy Wareckiej blisko Nowego Świata dobudowuje się w myśl wskazań wrażliwego smaku jakiegoś architekta sztuczny łuk z cegieł do żelbetowej belki w prześwicie. Po co? Żeby było „ładnie”. Żeby było staro i stylowo. I tacy ludzie walczą z rzekomym formalizmem.

Drugą oczywistą cechą współczesnej architektury jest dbałość o właściwe rozwiązanie funkcji budynku; dbałość o człowieka, który nie powinien mieszkać czy pracować w ciemnym chlewiku. To jest cecha powszechna, którą musimy przejąć nie chcąc uchodzić za barbarzyńców.

Trzecią cechą jest dewaluacja pojęcia „monumentalizmu”. Pisząc o Wright’cie pisałem, że jego większe budowle są bezsprzecznie monumentalne. Wright jest jednak wyjątkiem. W swojej ogromnej większości architektura nowoczesna stała się bardziej prosta, bezpośrednia, bezpretensjonalna, pozabawiona koturnów. Ponieważ jest to cecha powszechna, trzeba ją wziąć pod uwagę. Bezsprzecznie psychika współczesnego człowieka odrywa się coraz bardziej od na-

stroju mieszczańskiej pretensjonalności. Jesteśmy prości. Ubieramy się praktycznie, w stosunkach z ludźmi jesteśmy mniej sztuczni i fałszywi, nasze rozrywki budziłyby skandal sto lat temu. To wszystko musi wpływać na nasze upodobania w sztuce i architekturze. Potrzeba oświetlenia miejsc naszych zebrań istnieje i będzie istnieć w dalszym ciągu, ale czy taka sama jak przed kilkudziesięciu nawet laty?

Jeżeli architektura chce być współczesna, musi wziąć pod uwagę psychikę współczesnego człowieka i warunki w jakich powstaje — warunki czysto fizyczne w sensie możliwości technicznych (tak dziś zacyfrowały) oraz potrzeby nowej zbiorowości ludzkiej. To, co w pełni odpowiada nowym potrzebom jest słuszne i realistyczne.



Odwaga + współczesna konstrukcja + zdrowy rozsądek = dobra architektura. Fragment budowy Centro Bolivar w Caracas

ARTYKUŁ Eugenii Kocwy spotkał się z repliką ze strony Janiny Kolendo, repliką rzeczową i konstruktywną. W tym miejscu chcę dorzucić jedynie kilka uwag krytycznych powstałych przy lekturze tego artykułu. Wydaje się, że jest on dosyć typowym, można powiedzieć niemalże klasycznym przykładem sposobu myślenia rozpowszechnionego jeszcze wśród niektórych katolików. Dotyczy to przede wszystkim sposobu pojmowania stosunku chrześcijaństwa do spraw postępu społecznego. Autorka artykułu stwierdza, że „chrześcijaństwo z natury swej jest na wskroś społeczny i tylko przy odpowiednim podłożu społecznym w pełni rozwijać się może”. Przy czym P. Kocwa pojmuje chyba to „podłoże” chrześcijaństwa jako „kongregację” ludzi związanych wspólną wiarą i dążących do wspólnego dobra przez podnoszenie poziomu jednostki. „Suma jednostek chcących wejść na trudną drogę postępu wewnętrznego decyduje o prawdziwym i trwałym postępie społecznym”. Mimo początkowego zastrzeżenia jest to w istocie koncepcja indywidualistyczna, i jako sposób rozwiązywania problemu ulepszenia społecznego posiada znikomą wartość. Nikt nie neguje oczywiście znaczenia i konieczności indywidualnego doskonalenia. Jest to obowiązek każdego chrześcijanina na drodze do osiągnięcia Boga. Ale nie idzie przecież o to, aby realizowanie wewnętrznego doskonalenia miało przyczyniać się jedynie do łagodzenia konfliktów społecznych, lecz o to, aby realizowanie wewnętrznego doskonalenia przyczyniało się do usunięcia istoty zła społecznego. Dlatego sprawa wewnętrznego doskonalenia pozostaje w wyraźnym związku z koniecz-

* Por. E. Kocwa „Chrześcijaństwo rośnie powoli”, D. J. nr 48

KAZIMIERZ W. OLSZEWSKI

GLOSSA POLEMICZNA

nością świadomego zaangażowania w procesy postępu społecznego.

Stosunek chrześcijanina do spraw społecznych powinien opierać się na właściwym rozeznaniu rzeczywistości, na uświadomieniu, skąd bierze się to społeczne. Przy takim stosunku do rzeczywistości indywidualne doskonalenie nie będzie jedynie przypadkowo i pośrednio wpływać na polepszenie społeczeństwa, ale będzie mogło wyraźnie przyczyniać się do szeroko zakrojonych zmian.

Postawa jednostkowego postępu moralnego łączy się ze sprawą stosowania przez niektóre kierunki pedagogiki katolickiej tzw. moralności grzechu, jak to nazywa autor artykułu z „Masses ouvrières”. W nieco lapidarnym ujęciu postawę przeciwną można by przedstawić w ten sposób: nie chodzi tylko o to, czego nie robić, aby świat nie był zły, ale o to, co robić, aby świat był dobry. Taka postawa jest postawą twórczą w stosunku do rzeczywistości, postawą dynamiczną i ekspansywną. I tu dotykamy sprawy pozytywnych wymagań religii chrześcijańskiej, które — jak to słusznie podkreśla P. Kocwa — istnieją wyraźnie wykraczając poza ramy określone Dekalogiem. Tylko że autor artykułu z „Masses ouvrières” wcale ich nie przekreśla. Zwraca jedynie uwagę na fakt, że w obecnym nauczaniu katolickim są mało sprecyzowane, czego nie było np. w czasach pierwszych chrześcijan, kiedy to uważano, że wiara nie dokonuje jedynie obiektywnej ontologicz-

nej przemiany bytu ludzkiego przez łaskę, lecz że przemiana życia wywołującą przewrót w zakresie działania nie tylko indywidualnego, ale także zbiorowego: przemieniała ona ludzką społeczność i przemiana ta była tak wielka, że miała się odbić echem na całym świecie”.

Jeśli chodzi o pomniejsze tezy zawarte w artykule P. Kocwy, to przynajmniej część z nich budzi poważne zastrzeżenia. Można się zgodzić, że człowiek współczesny jest „niecierpliwym”, że chce szybko i sprawnie rozwiązywać napotykaną trudność. Czy można jednak uważać postępek moralny za „z natury zacyfrowany”? Niewątpliwie dokonuje on się wolniej niż postęp w jakiegokolwiek innej dziedzinie. I wcale nie chodzi o przeniesienie prawideł postępu technicznego w dziedzinę moralną. Chodzi o zrozumienie jego ogromnego, ciągle wzrastającego wpływu na losy całej ludzkości. Obszernie pisze o tym w swoich uwagach polemicznych Janina Kolendo: „Nie można zgodzić się na lekceważenie sprawy postępu technicznego, gdyż nie jest prawdą, że służy on tylko do „rozpieszczania ludzi”. Może on bowiem służyć całej ludzkości, a więc stawać się narzędziem realizowania zasady miłości każdego człowieka w skali światowej, lub służyć zabiściwu ludzkości, a więc też zasadę zdradzać w sposób haniebny — i zawiniony. Zawiniony przez nas, przez chrześcijan również”. Tutaj chce jeszcze zwrócić uwagę na ogromną rolę postępu

technicznego w zmianach zachodzących w ludzkiej świadomości. Weźmy choćby pod uwagę, jaki wpływ posiada wzrost stopy życiowej możliwy m. in. dzięki zdobyciom technicznym na zmniejszenie przestępczości, a co za tym idzie pośrednio na poprawę moralności. Postępu moralnego nie można traktować mechanicznie, jego tempo wzrasta zapewne i w zależności od przemian ekonomicznych i technicznych. Ale szybkość postępu moralnego jest również zależna od sposobów nauczania. Weźmy choćby znakomite wyniki tego nauczania w czasach apostołów w odróżnieniu od znacznie mniej efektywnych wyników w świecie nowoczesnym. Postęp techniczny ma również z pewnością wpływ na rozwój człowieka przez ogromną łatwość dostępu do literatury i jej obfitość, która może ten postęp ułatwić i przyspieszyć. W tym świetle zrozumiałe staje się fakt szybkiego rozwoju społeczeństwa, szybkiego przyswajania pojęć zarówno zła, jak i dobra. Szybkość więc nie jest czymś groźnym; chodzi przede wszystkim o wybór metod dostosowanych do potrzeb duchowych człowieka, które przecież są różne w różnych epokach. To łączy się ze sprawą „historycznego myślenia”. Z pewnością posiadamy silne poczucie chrześcijańskiej wspólnoty. Tylko że w ramach tego „historycznego myślenia” obowiązani jesteśmy przyjmować to, co w nauce Kościoła pozostaje wieczne. Mamy natomiast obowiązek dostrośowywać naszą działalność i środ-

ki do potrzeb współczesnego człowieka. W ramach „historycznego myślenia” nie będziemy organizować krucjaty przeciwko mahometanom. Natomiast w ramach „historycznego myślenia” jesteśmy obowiązani realizować społecznie np. przykazanie o miłości bliźniego.

Twierdzenie jakoby „upowszechnienie chrześcijańskiej religii datowało się dopiero od czasu, gdy protektorem jej stało się państwo, użyczając jej nie tylko moralnego poparcia, lecz całej swej siły świeckiej organizacji” jest nadmiernym uproszczeniem rzeczywistego stanu rzeczy. Chrześcijaństwo rozpowszechniło się czerpiąc przede wszystkim siły z boskiej i humanistycznej wartości doktryny. Państwo zaakceptowało chrześcijaństwo jako religijną, „tradycyjną - autorytatywną, uczuciową i pierwotną”. „Religijność tradycyjna - autorytatywna — czytamy dalej — jest pierwszym przejawem życia duchowego, niedoskonałym i przejściowym”.

Reasumując powyższe uwagi powróćmy jeszcze raz do podstawowej tezy autora artykułu z „Masses ouvrières”. Zwraca on uwagę na konieczność wyjścia poza indywidualne traktowanie Dekalogu i wynikającą stąd wielokrotnie przypadkowość praktycznej postawy katolików wobec rzeczywistości. P. Kocwa zajmuje stanowisko wręcz przeciwnie. Jest to postawa opierająca postępek społeczny na koncepcji indywidualnego doskonalenia. Oczywiście, że dążenie do zbawienia jest celem pierwszorzędym w chrześcijaństwie, ale dokonuje się ono również w oparciu o właściwe rozeznanie rzeczywistości i wynikające stąd dla chrześcijanina konsekwencje działania.

ZESPÓŁU

CECHĄ charakterystyczną naszego Zespołu jest jego wyraźne zaplecze teoretyczne i ideologiczne. Ten ideologiczny charakter zespołu jest podstawą wszystkich naszych sukcesów w minionym dziesięcioleciu. Jednocześnie ideologiczny charakter zespołu musi przysparzać nam trudności. W ustroju socjalistycznym liczą się poważnie własne wartości ideologiczne, ale też one przede wszystkim wywołują poważne wątpliwości i obawy, jeśli wywodzą się z odmienności światopoglądowo - filozoficznej. Z naszą postawą ideologiczną wiąże się w sposób konieczny stawianie postulatów światopoglądowych i stawianie sobie zadań wobec budownictwa socjalistycznego, w kierunku jego wzbogacania. To jest jedynie twórcze stanowisko i tylko ono może faktycznie mobilizować ludzi wierzących do konstruktywnego wysiłku. Ale to stanowisko będąc nowym społecznym dla marksizmu, nie znajdując dotąd w teorii rewolucyjnego rozwoju swego uogólnienia — będzie jeszcze przez pewien okres budziło niepokój. Można sporadycznie obserwować konsekwentną pokusę stawiania na elementy oportunistyczne, aby nie komplikować sytuacji zbyt szeroką rolą czynnika ideologicznego o nie-marksistowskim charakterze światopoglądowym.

Czynnik oportunistyczny przegrał generalnie przez zjednoczenie ruchu społecznego postępowego katolików w Polsce. Ale nie skończyły się przejawy wykorzystywania tego czynnika. Nie udało się jeszcze całkiem obaw przed rośnięciem ruchu ideologicznego. W obawie tej rodzi się inspiracja działalności tych księży, którzy walczą przeciwko wpływowi Paxu na ruch. Na obawie tej żerują mali ludzie. Zwycięstwo koncepcji rosnącego ruchu ideologicznego jest jednak nieuchronne, bo po pierwsze: marksizm jest ideologiczny i tylko wartości ideologiczne może rozwinąć i trwale wprzeżyć do budowy nowego społeczeństwa, po drugie: związek z masami i faktyczny charakter Frontu Narodowego wymaga ideologicznego charakteru ruchu, po trzecie: jako zespół jesteśmy w stanie zapewnić dalsze sukcesy ideologicznemu charakterowi ruchu. Sumując uważam, że największym osiągnięciem dziesięciolecia jest nadanie ruchowi szerokiego charakteru ideologicznego, stworzenia koncepcji i faktu szerokiego zjednoczonego ruchu, wiernego sojusznika partii klasy robotniczej. Jesteśmy ruchem, a nie luźno współpracującymi jednostkami. W tym jest nasza siła, a także wartość dla rewolucji.

Powodzenie ostatnich zjazdów organizowanych w decydującej

mierze własnym wysiłkiem Komisji jest dowodem skuteczności działania zjednoczonego ideowego ruchu.

Przy organizowaniu ostatnich zjazdów i w ogóle w całej pracy wśród duchowieństwa w ostatnim okresie dały się zaobserwować pewne cechy charakterystyczne dla polityki wyznaniowej i stosunków kościelno - państwowych w naszym kraju. Trzeba powiedzieć, że zjazdy nasze, mimo że zostały zakończone niewątpliwym sukcesem, odbywały się w ogniu trudnej walki politycznej z ówczesnymi społecznie konserwatywnymi. Dlatego w jedenastym roku istnienia Polskiej Ludowej możemy obserwować sy-



tuację ostrego przeciwdziałania niektórym kół antypostępowych? Dlatego, że spotyka się jeszcze zaniebdania na odcinku polityki wyznaniowej. Generalna jej linia powinna budzić zaufanie, jeżeli się opiera na fundamencie dwustronnego porozumienia. Jednocześnie niedobry jest stan, w którym na odcinku Kościół - Państwo całymi miesiącami nie dzieje się nic. Niesłusznie cieszą się z tego niektórzy katolicy, ponieważ przemiana atmosfery ideowo-politycznej instytucji katolickich musi się odbywać stale, albo instytucje te znajdują się w niebezpieczeństwie. Niesłuszne byłoby stanowisko, że lepszy jest impas na odcinku wyznaniowym, niż aktywność, która podwyższałaby znaczenie światopoglądu katolickiego. Impas na odcinku wyznaniowym nieuchronnie prowadzi do wzrostu elementów konserwatywnych i nieprzyjaznych państwu ludowemu. Dlatego nasze środowisko jest i musi być za podniesieniem rangi politycznej spraw wyznaniowych w naszym kraju, za takim realizowaniem linii dwustronnego porozumienia, aby przemieniała się nadal świadomość społeczna duchowieństwa i atmosfera instytucji, aby polski model stosunków Kościół - Państwo był jak dawniej atrakcyjny dla zagranicy.

Analiza przebiegu zjazdów X-lecia wysuwa jako naczelny wniosek podniesienie znaczenia polityki wy-

znaniowej i stosunków między Kościołem i Państwem. Analiza ta także wysuwa wniosek naszego bardziej równomiernego obejmowania wysiłkiem ideowo - organizacyjnym wschodnich połaci kraju, gdzie mamy najmniejsze osiągnięcia. Ponieważ jednak sukces nasz w czasie zjazdów był bez-

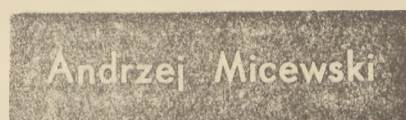
sporny, przeto uważam za stosowne z tego miejsca podziękować wszystkim tym kolegom ze Stowarzyszenia Pax, którzy brali udział w przygotowaniu zjazdów, przede wszystkim tym, którzy o sobiście odwiedzali księży, ponieważ ich wysiłek był najtrudniejszy, następnie chciałem podziękować sekretarzom i pracownikom wojewódzkim, a wreszcie kierownikowi organizacyjnemu i pełnomocnikowi za wysiłek organizacyjny i kierowniczy. Podziękowania te nie mają charakteru formalnego, ponieważ ostatnie zjazdy były najtrudniejszą, a zarazem udaną akcją ideowo - polityczną naszego zespołu.

ROLA STOWARZYSZENIA

sprzeczny, przeto uważam za stosowne z tego miejsca podziękować wszystkim tym kolegom ze Stowarzyszenia Pax, którzy brali udział w przygotowaniu zjazdów, przede wszystkim tym, którzy o sobiście odwiedzali księży, ponieważ ich wysiłek był najtrudniejszy, następnie chciałem podziękować sekretarzom i pracownikom wojewódzkim, a wreszcie kierownikowi organizacyjnemu i pełnomocnikowi za wysiłek organizacyjny i kierowniczy. Podziękowania te nie mają charakteru formalnego, ponieważ ostatnie zjazdy były najtrudniejszą, a zarazem udaną akcją ideowo - polityczną naszego zespołu.

Przy okazji warto sprzeczyć o istotę rozumienia przywództwa i kierowniczej roli Partii Klasy Robotniczej w ujęciu naszego Zespołu. Uznajemy przywódczą rolę Partii i chcemy być jej sojusznikiem w budownictwie socjalizmu. Jednocześnie Zespół posiada pewną wewnętrzną solidarność w występowaniu wobec Partii Klasy Robotniczej z pozycji światopoglądu chrześcijańskiego. Zespół jest bezwzględnie szczery wobec Partii i informuje ją o całokształcie swojej linii i praktyki. Jednocześnie Zespół szczerze występuje przed Partią, jako całość, jako zespół, przez swoje kierownictwo, właśnie dlatego, aby skutecznie realizować postulat światopoglądowy. W zespole, w ramach określonych przez wytyczne ideowe, dopuszczalne są poważne różnice, dyskontowane jednak na płaszczyźnie wewnętrznej - zespolowej. Szukając rozwiązań wewnętrznych spraw dla Zespołu poza Zespołem obiektywnie osłabiałoby się jego siłę w reprezentowaniu postulatów światopoglądowych, osłabiałoby się jego siłę jako sojusznika Partii w budownictwie socjalizmu.

Hierarchia wewnątrz - orga-



Andrzej Micewski

szego Zespołu odpowiada wzrostowi zadań ruchu, a szerszy zasięg ruchu na odcinku świeckich traktujemy jako naturalny skok rozwojowy, konieczny w przyszłości dla ogólnonarodowej skuteczności naszego działania.

Czy Zespół nasz popełnia błędy? Z całą pewnością je popełniamy. Trzeba spróbować poszukać istoty tych błędów. Warto podkreślić, że nie polega ona na błędach co do zasad i linii postępowania. Istota naszych błędów dotyczy przede wszystkim stylu pracy. Konkretnie rzecz biorąc — skuteczność działania w realizowaniu linii generalnej za często przesłania nam drobne, ale ważne szczegóły. Są to: konieczność jednoczesnego z akcją interesowania się współkolegami, pomagania im. W małym środowisku błędy te nie byłyby niebezpieczne, obecnie przybrały na znaczeniu i musimy je do końca przezwyciężyć.

W moim osobistym przekonaniu, jest dziedzina w naszej pracy, mocno zaniedbana, w której błędy nasze dotyczą już nie tylko stylu pracy. Tak poważnie zaniedbaliśmy odcinek kultury. Środowisko nasze nie jest w tej chwili ośrodkiem kulturotwórczym interesującym także dla ludzi spoza światopoglądu katolickiego. Nie bierzemy dostatecznie znaczącego udziału w dyskusji kulturalnej, która ma duże znaczenie dla przyszłości socjalizmu, za mały jest nasz udział w walce o humanizację kultury. Linia generalna walki o pluralizm światopoglądowy jest na pewno decydująca dla oblicza socjalizmu i jego kultury, ale nie zwalnia to naszego Zespołu od skupienia wysiłku na szczegółowych zagadnieniach kulturalnych. Zadanie to powinno zna-

leżać w naszym zespole swój wyraz praktyczny. Musimy być atrakcyjni także dla wielu ludzi, którzy nie będąc marksistami, budują socjalizm, a jednocześnie nie całkowicie zgadzają się z nami pod względem światopoglądowym. Atrakcyjni musimy być oczywiście w tym sensie, w jakim tworzy się ruch umysłowy na odcinku kultury. Słuszne są w naszym Zespole postulaty intelektualnego pogłębiania katolicyzmu, a także pogłębiania życia wewnętrznego, ale pamiętać musimy, że jako ruch umysłowy i ideowo - polityczny z czasem będziemy także działać na szerokiej płaszczyźnie chrześcija-

współbudujących socjalizm. Potrzebna nam jest dla przyszłej perspektywy szczególna szerokość horyzontów myślowych i wyzwolenie się od jakiegokolwiek intelektualnego sekciarstwa.

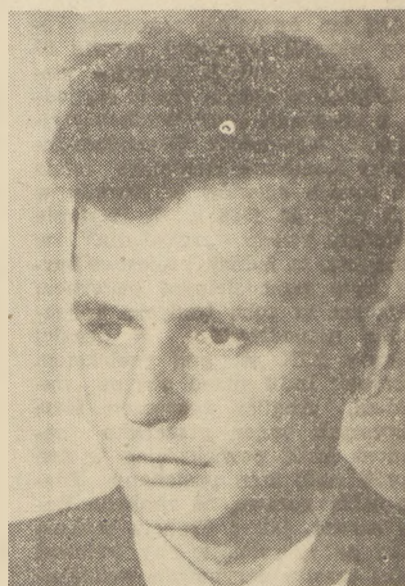
Bardzo często postuluję się u nas twórczość intelektualną i na ogół mało z tego wynika. Najczęściej niewielkie wyniki mają ci, którzy najwięcej moralizują na tym odcinku. Twórczość ideowo - polityczna odbywa się poprzez tworzenie koncepcji teoretycznych i poprzez działania, poprzez stwarzanie faktów. Nie należy lekceważyć twórców faktów ideowo - politycznych. Nieprawdą jest, że twórczość polega tylko na abstrakcji myślowej. Twórczość teoretyczna bywa głównie uogólnieniem faktów. Nasza twórczość ideologiczna z natury rzeczy nie będzie bardzo szybka, ponieważ fakty następują z latami, a w ich uogólnieniu trzeba być ostrożnym. Ażby oceniać instytucje socjalizmu i wysuwać koncepcje ich poprawiania trzeba mieć dane statystyki i możliwości porównawcze. Nie znaczy to wcale, że nie mamy ściśle teoretycznych zadań intelektualnych. Ale znaczenie ideologiczne np. twórczości Piaseckiego polegało między innymi na tym, że była ona uogólnieniem faktu i kontekstu rozwijania się naszego ruchu. W tym kierunku musi iść też główny tor naszych poszukiwań teoretyczno-ideowych.

Wreszcie jeden akcent dotyczący stosunków wewnątrz - zespolowych. Winna je cechować przyjaźń i szacunek. Przyjaźń i szacunek nie polegają na odwadze mówienia źle o człowieku, ale na gotowości ofiarowania mu pomocy. Każdy z nas musi to przemysleć. Krytyka w życiu Zespołu jest koniecznym obowiązkiem, a nie odwodem odwagi przekonań.

Wierząc w zwycięstwo procesów

postępowych w katolicyzmie naszą działalnością stworzyliśmy problem o znaczeniu wychodzącym poza nasz Zespół i poza nasz naród. Jesteśmy przekonani, że w ten sposób, jako pełnowartościowy sojusznik ruchu rewolucyjny, przyspieszamy postępowe procesy w katolicyzmie światowym. Uważam, że powinniśmy nasze X-lecie święcić z całą powagą, ale także z poczuciem nie darowanego nam, a ciężko wywalzonego znaczenia.

Dar ideowości



Wojciech Janicki

KIEDY dwa lata temu znalazłem się w Zespole, zadawałem sobie niespokojne pytanie. Czy mam prawo do poczucia wspólnoty? Był to jakiś niepokój sumienia. Czy wolno mi mówić o sprawie, której sam dotychczas nie słyszałem... „a s z a sprawą”, czy wolno mi słowo „My” stawiać znak równości między mną a grupą ludzi mających za sobą lata tej służby? Czy nie będzie to zawłaszczaniem cudzego dorobku?

Rozstrzygnęła praktyka. Ona sprawiła, że z naszą sprawą poczuł się ogromnie silnie związani. O nią biliśmy się, w moim konkretnym wypadku na KUL-u czy w Lubelskiej Komisji. I tu znajdujemy odpowiedź na pytanie, czym porwał nas ruch? Co nam ruch dał? Dał nam ideologię, której słuszność dowodziła praktyka dziesięciu lat. Dał nam ideowość. To kolosalnie ważne. Przyjmując ideologię, o której zaczęliśmy mówić „nasza ideologia” — wybiegliśmy wraz z jej twórcami daleko wprzód poza utarte poglądy. Staliśmy wobec otoczenia z ładunkiem nowych myśli — zaskakując, budząc zdziwienie, więcej — oburzenie, sprzeciw środowiska o ustalonych pojęciach. Nasza młodzież była dla nas atrakcyjnym i trudnym zarazem. Korzystnym, bo przyszłemu w pewnym sensie na gotowe. Trudnym, bo ta młodzież starała się wykorzystywać jako argument przeciwko nam. Iż razy ze strony przeciwników ruchu słyszeliśmy ironiczne — „reformatorzy bez wiedzy i doświadczenia”!

Dziesięciolecie udowadnia słusność twórczości zasadzającej się na nowatorskiej, pionierskiej ideologii. Istotę tej słuszności bardzo trafnie oddają słowa Bernarda Shaw, który odnosi je do twórczości ogólnie pojętej:

„...nowe myśli żłobią własną formę, jak woda żłobi łożysko, a technicznie doskonały artysta bez własnych myśli jest jak inżynier wodny bez wody — choć potrafiłby wykonać bardzo rzetelnie to, co Mississippi wykonuje bardzo prymitywnie. Na dowód tego twierdzenia wystarczy przyjrzeć się twórcom epokowym. Zaczynają tworzyć, jeszcze zanim ich nowe myśli dojrzały dostatecznie, by domagać się absolutnego wyrazu w sztuce. Musicie przyznać, że gdyby epokowy twórca zmarł przed uświadomieniem własnego oblicza w dziele sztuki, nie osiągnąłby wielkości, nawet gdyby jego kwalifikacje techniczne były już ugruntowane”.

To właśnie nasz ruch pozwolił nam zrozumieć, że nie wolno czekać latami na to, by dopracować absolutny wyraz naszego działania. Ze taka postawa wyobcowałaby nas w ogóle z działania. Że życie idzie szybciej niż możność stworzenia aktualnej, technicznej doskonałości działającego podmiotu. Nasza działalność to też twórczość; specjalnie ważką, bo o społecznym zasięgu skutków. Nie wystarczy być odwołaną. Nie wystarczy być doskonałym kopistą, który odwarza to, co już przedtem zostało uroczyście ustalone i doskonale wyrażone. Na twórcy ciąży obowiązek twórczości, na każdym z nas — obowiązek „nowych myśli”. Zespół ukazuje, jak myśлом tym nadać szluszny kierunek. Daje nam, jak to określił tutaj kolega Piasecki — „warunki rozwoju i imię realizacji wytycznych środowiska”. Daje nam „zasadniczy cel publiczny w życiu”. Jakież to ważne: ukazanie możliwości i nadanie organizacyjnej formy spełnianiu nakazów naszego światopoglądu, udział w budowie jego perspektyw społecznie, w rzeczywistości socjalistycznej.

Zespół Stowarzyszenia — to także konkretni ludzie. Ludzimi, którzy przez dziesięć lat tworzyli Zespół i dali zarzewie myśli stających się a s z a s p r a w a — należą dziś słowa głębokiej wdzięczności.

Odnaleziona droga



Józef Wójcik

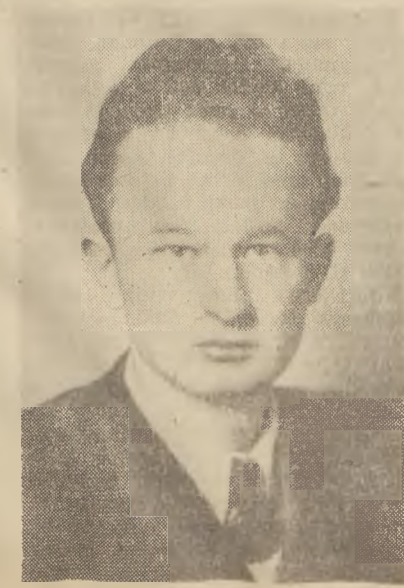
SENS Zespołu, w moim rozumieniu, wynika stąd, że nie jest on wspólnotą towarzyską, wspólnotą pracowników określonej instytucji, ale jednostką ludzi, którzy służą jednej sprawie, jednej idei, jednej Prawdzie.

Nie ma dwu obiektywnych prawd w określonym momencie historycznym. Zespół jest wyrazem obiektywnej potrzeby, potrzeby nie tylko wewnętrznej, polskiej. Pracę swoją mógł rozpocząć dlatego, że znalazł się ludzie, którzy dostrzegli trop historii.

Dziesięć lat pracy Stowarzyszenia Pax jest upływem, bo wynikającym z najgłębszego przekonania, że w poprzek historii stanąć nie można — przyspieszaniem dochodzenia i wchodzenia katolików na trop dziejów w przeświadczeniu, że to dojdzie dokonuje się dla dobra katolicyzmu, dla dobra socjalizmu, w interesie narodu i ludzkości. Owa integralność celów wprowadza ład w nasze życie. Mówię skrótami i nieprecyzyjnie — stąd boję się, że brzmi to zbyt patetycznie — w każdym razie jestem przekonany, że trzeba daleko widzieć, by wokół siebie dobrze czynić.

Ideologiczna i moralna reprezentatywność Zespołu — to jego wartość i siła. Jeśli dziś mówimy o tak wielkich sprawach, jak służba Kościołowi i ludzkości — mówimy bez sztuczności i koturnowości — to dlatego, że Zespół jest tylko skromnym, ale pionierskim wycinkiem postępowych sił katolicyzmu w Polsce i w świecie, sił często drżących, ale realnych. Należy wyupuklić zasadniczą cechę naszej jednoci, którą tworzy wspólna ideologia. Wszystko, co jej zaprzecza, jest obce Zespołowi, musi się znaleźć poza nim.

Chciałbym odwołać się tu do doświadczenia osobistego, które jednak ma sens ogólniejszy. Sądzę, że będzie ono szczególnie zrozumiałe dla tych wszystkich kolegów, którzy wyszli z KUL-u. Chciałbym bowiem przeprowadzić pewną przykładową analogię dwu postaw in-



ZWIEŻLE uwagi o pracy Instytutu Wydawniczego Pax, zawarte w referacie Bolesława Piaseckiego: „Droga ruchu społecznego postępowego katolików”, wygłoszonego na centralnej akademii, a sprezywane w dzisiejszym referacie, a także niepokojące milczenie o tych zagadnieniach kolegów, którzy w przytoczonych dyskusyjnych zajmowali się — może z racji pełnych obowiązków na innych odcinkach naszej działalności — sprawami tylko pośrednio związanymi z pracą Instytutu, skłoniło mnie do podzielenia się z zebranymi kilkoma uwagami, których brak w podsumowaniu dziesięcioletniej aktywności Zespołu Stowarzyszenia Pax byłby pewnego rodzaju zubożeniem bilansu. I nie tylko! Mogłoby także zawnić błędy i pomyłki — dalsze błędy i pomyłki, podkreślam przynajmniej, gdyż i w dotychczasowej działalności Instytut Wydawniczy Pax ich nie uniknął. Zresztą nie podobna było uniknąć.

Zacznę od stwierdzenia, które choć banalne, jest jednak obowiązujące we wnioskach. Instytut Wydawniczy Pax nie jest ośrodkiem niezależnym, istniejącym poza i obok naszego ruchu. Jest jedną z jego placówek i to placówką mającą ściśle określone zadania: realizowanie konkretnych zamiarów kulturalnych. Jest placówką, która charakteryzuje się ambicjami współtworzenia kultury ogólnonarodowej poprzez wzbogacenie jej autentycznymi wartościami wynikającymi ze światopoglądu katolickiego.

Podkreślam raz jeszcze: najbardziej eksponowana placówka ruchu społecznie postępowego katolików, której zadaniem jest realizowanie określonych zamiarów kulturowych.

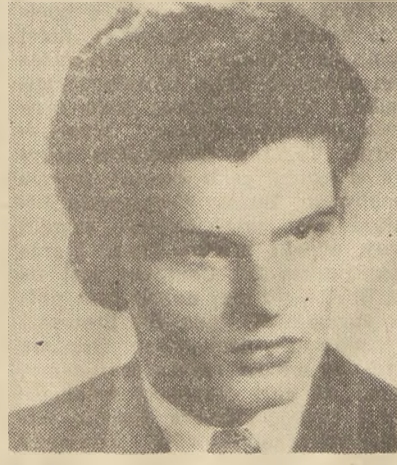
Niesposób wyobrazić sobie działalności ruchu bez zaplecza, jakim jest ośrodek wydawniczy. Nie dzieje tu, rzecz jasna, o fabrykowanie ulotek, ale rozsądne oddziaływanie na społeczność katolicką poprzez prace popularyzatorskie, wyjaśniające, postulujące, czy wreszcie powieści i dzieła naukowe, których zadaniem jest pogłębianie światopoglądu, opieranie go na podstawach intelektualnych, nie tylko uczuciowych, inspirowanie, ostrzeżenie widzenia problemów życia współczesnego.

W świetle powyższych wywodów podkreślenie zdanie nabiera właściwego, obowiązującego wszystkich członków Zespołu znaczenia.

Instytut Wydawniczy Pax spełniał funkcję naturalnego sojusznika, realizował powierzone zadania. I on także — w dostępnych mu wymiarach — budował autorytet ruchu i Zespołu, który powołał go

NATURALNY SOJUSZNIK

do istnienia. I ma swoje osiągnięcia. Wyraża się to nie tylko w liczbie tytułów i nakładów, które przetrzała kierownik Zespołu, ale przede wszystkim w zaufaniu czytelników, którzy właściwie ocenili politykę kulturalną Instytutu. I tu z głęboko uzasadnioną dumą mo-



żemy stwierdzić, że wyrażała się ona w słusznej dalekowzroczności. Już kilka lat temu — w okresie bardzo brzydko nazywanego w kategoriach meteorologicznych przymroku — udośćpniliśmy czytelnikom najwybitniejsze osiągnięcia literatury „burżuazyjnego” Zachodu, i to zarówno literatury pięknej, jak i naukowej, wydając przekłady Gilsona, Daniela Bopsa, Marshalla i Greene'a, czy wreszcie pisarzy Niemieckiej Republiki Federalnej, że wymienię tu dwa wybitne nazwiska: Gertruda von Le Fort i Reinhold Schneider. W tej dziedzinie wyprzedziliśmy znacznie naszych towarzyszy marksistów, którzy aktywność w tym kierunku przejawili stosunkowo niedawno (sygnalem była dyskusja wokół referatu Mirosława Żuławskiego o koegzystencji w kulturze).

Nie będę tu powtarzał tytułów, a zwłaszcza cyfr — choć jest w nich dużo autentycznej poezji. Nie to jest tu najważniejsze. Powiedzmy sobie szczerze: osiągnięcia oceniono. Półgębkiem natomiast zasygnalizowano braki: że mało konkretnie przemysłano plan... że, łanie wznoszącymi... że wiecznie Dobraczowski... że wciąż ci sami autorzy... że — w ogóle — improvizowanie.

Nie zwrócono — jak zresztą zwykle — uwagi na słonia, chociaż wszyscy szwendaliśmy się mu

między łapami łaskocząc go w wielki palec.

W klimacie jubileuszu grozi rozpłynięcie się w dymach kadzidłanych. Tak, to prawda, wyszliśmy na drogę historii, nie zapominamy jednak o trudzie przedzierania się strumieniami ścieżkami, nie zawsze odgarniętymi z kamieni. I przyznajmy: ścieżki teoretyczno - kulturalne pozostały nie tylko że nie wygrabione, ale nie wyzbiierane z nich nawet średniej wielkości glazów.

W ten sposób z zaniedbań rodziły się pomyłki.

Zasadniczym i ogólnym błędem Środowiska i ruchu był fakt niedostatecznego przejścia się teoretycznymi sprawami kultury. Problematykę tę pozostawiono na uboczu; nie podkreślali jej ani zbrania wewnątrz-zespolowe, ani obrady sekcji kulturalnych: Sekcji Książki i Sztuki, Pisma katolickie rozdrabniając się w kameralnych dyskusjach tocących się wokół problemików i kwestijek przegapiły zagadnienia teoretyczne. Zresztą przegapiły i teraz szansę włączenia się konkretnymi przemyśleniami i precyzjami w niezwykle interesującą dyskusję, którą zapoczątkowali profesorowie Adam Schaff i Józef Chałasiński.

I tu właśnie trzeba należy zrobić błędów i pomyłek Instytutu Wydawniczego Pax, działającego właściwie bez zaplecza teoretycznego, a przez to skazanego na szukanie po omacku, przy czym zawsze odnaleźć można przecieć nie to, co najważniejsze, nie to, co niezbędne, ale to, co należało odożyć lub udośćpnąć poprzez zreferowanie, relację prasową — bez utraty cennej pozycji planu edytorskiego.

Niejednokrotnie praktyka kształtuje teorię. Zdarzają się genialne improwizacje, sukcesy są także wynikiem zdrowej ambicji i trafnego rozeznania...

Myńczymy sobie jednak osiągnięć, których podstawą będzie teoria realizująca się i sprawdzająca w praktyce. Wyeliminujemy wówczas moment przypadkowości.

I wówczas także naturalny sojusznik rzeczywiście realizować będzie k o n k r e t n e z a m i a r y k u l t u r a l n e.

Odkryjemy słonia.



Andrzej Piotrowski

W PAŹDZIERNIKU 1947 r. prasa brytyjska zamieściła wiadomość o podpisaniu w Londynie w dniu 17.10.47 r. anglo - burmańskiego traktatu, na mocy którego Wielka Brytania uznała Burmę za niepodległą i suwerenną republikę. Niepozbawione odcienia smutku komentarze prasowe stwierdzały, że Zgromadzenie Konstytucyjne będące przedstawicielem narodu burmańskiego postanowiło, iż przyszłość Burmy jako niepodległego państwa rozwinię się poza obrębem brytyjskiego Commonwealthu.

Akt ten formalnie zakończył okres niewoli trwającej prawie 60 lat. Burma straciła bowiem niepodległość w 1885 r. stając się jedną z prowincji Indii Wielkiej Brytanii. Wprawdzie Wschodnio-Indyjska Kompania Angielska miała już swoich agentów w Burmie w 1612 r., a od 1796 r. W. Brytania posiadała swego „rezydenta” w Rangunie, to jednak królestwo Burmy było samodzielnym państwem mającym za sobą tradycję tysiącletniej niepodległości. W drugiej połowie XIX w. pod pretekstem „obrony” Indii przed obcym najeźdźcą, Anglicy rozpoczęli serię zabórczych wojen przeciwko sąsiadom Indii powiększając w ten sposób swój stan posiadania. Zdając sobie sprawę, że zarówno Rosja carska, jak i Francja czekają tylko na sposobność, aby oderwać bodaj cząstkę terytorium wchodzącego w skład angielskiej sfery wpływów na pograniczu Indii: w Afganistanie, Tybecie, Burmie, Syjamie, Wielka Brytania wyprzedziła Francuzów podbijając Burmę w 1885 r. w wyniku zwycięsko zakończonej III wojny anglo - burmańskiej. Zawiadnięcie jednak całym krajem nie należało do rzeczy łatwych. Wystarczy stwierdzić, że dla utrzymania „ładu i porządku” Anglicy zmuszeni byli niejednokrotnie wzywać oddziały wojskowe z Indii używając do tych operacji większych ilości wojska niż do wszystkich trzech wojen anglo-burmańskich łącznie. Opór ludności nie został jednak złamany i bez przesady można powiedzieć, że trwał przez lat kilkadziesiąt w tej lub innej formie bez względu na to, że w 1937 r. Burma została oddzielona od Indii i utworzona z niej oddzielna kolonia koronna pod nadzorem Colonial Office.

Występując przez ponad pół wieku w charakterze obrońców feudalnych przeżytków w dziedzinie gospodarczej: obszarowej własności ziemi, w dziedzinie politycznej: separatystycznych tendencji poszczególnych księstw i prowincji oraz w dziedzinie religijnej: wszechwładzy duchowieństwa i kast, kolonizatorzy angielscy stosowali politykę „divide et impera” wzniecając spory religijne i narodowościowe oraz wywołując incydenty graniczne, z których to metod zasłynęli jako specjaliści nie tylko w Azji.

Korzystając z faktu, że Burma składa się z 42 stanów (w okresie istnienia kolonii koronnej — z 37 dystryktów) zamieszkałych przez blisko 12 mln. Burmańczyków i ponad 7 mln. różnych mniejszości narodowych, jak: Karenów (1,5 mln.), Szinów (1 mln.), Kaszinów, Chinczyków, Hindusów (1 mln.) wyznających przeważnie buddyzm (84 proc.), Anglicy mieli wdzięczne pole do popisu w podsycając wzajemnych antagonizmów. Popierali oni bądź muzułmanów, bądź buddystów, przyjmowali na służbę państwową przedstawicieli eksploatatorskiej warstwy mniejszości hinduskiej, prześladowali wszelkie przejawy ruchów ludowych skierowanych przeciwko władzy brytyjskiej. Angielskie oddziały karne bez sądu rozstrzeliwały uczestników ruchów wolnościowych lub zsyłały ich na wyspy Andamańskie.

W XIX w. ideologicznym wyrazem pragnień ludu były prądy secesyjne, których zwłastkami byli już pierwsi przedstawiciele średniowiecznego „ruchu reformy religijnej”. Członkowie sekt poszli dalej od swoich nauczycieli — zwolenników biernego oporu, głosząc zasady jawnej walki z feudalizmem zerwali z ortodoksyjnym hinduizmem, odrzucali kastowość i występowali w roli przewodników mas ludowych. W XIX w. walki z feudalizmem przybierają charakter zbrojnych powstań przeciwko władzy brytyjskiej, a ich program polityczny przewiduje utworzenie własnego państwa i polityczne zjednoczenie.

W XX w. wydarzeniem o dużym znaczeniu kulturalnym i politycznym był strajk studentów w 1920 r. będący protestem przeciwko „Ustawie uniwersyteckiej” ograniczającej system nauczania narodowego. Strajk, mimo iż kierowany przez elementy nacjonalistyczne, miał charakter postępowy i odegrał znaczną rolę w politycznym rozwoju Burmy. Dzień wybuchu strajku został uznany za święto narodowe Burmy. 35-ta rocznica tego wydarzenia przypada na dzień 9 grudnia 1955 r. Powstanie chłopów w 1929 r., największe w dziejach Burmy, oraz wystąpienia zbrojne młodej burmańskiej klasy robotniczej wraz ze studentami i ludnością wiejską w 1938 r. dowodzą, że Anglicy nie mieli szans na utrzymanie się w Burmie i rok 1947 przedzielił czy później musiał nastąpić.

W latach 1942 — 1945 Burma przeżywała, podobnie jak wiele innych krajów Azji i Europy, tragedię okupacji faszystowskiej. Przez trzy i pół roku była okupowana przez Japończyków. Okupacja ta



Słynna królewska złota pagoda w Mandalay

była nie mniej straszna i brutalna niż hitlerowska. Burma będąc jednym z ważniejszych obszarów strategicznych w południowo - wschodniej Azji była nieustannie przedmiotem bombardowań, ataków i kontrataków japońskich i alianckich. Po zajęciu przez Japończyków portów chińskich, Indochin, Malajów i południowej Burmy, pozostała tylko jedna droga zaopatrywania Chin w materiały wojenne, była nią słynna droga północno-burmańska. Tędy to poprzez błotniste, niebezpieczne dżungle, w temperaturze tropikalnej przechodziły transporty broni konwojowane przez Australijczyków, Gurkhów z Indii oraz Angliczów. Droga ta była, oczywiście, niemiłosiernie bombardowana przez Japończyków, a okoliczne i dalsze osady burmańskie równane z ziemią za pomoc aliantów, za tworzenie organizacji podziemnych i za wojnę partyzancką. Walki partyzanckie toczyły się zresztą we wszystkich okęgach kraju: w prowincji Arakan nad Zatoką Bengalską, w górnej Burmie, gdzie najczęściej pod wodzą Boul B-thua połączono się z wojskami alianckimi i w południowej Burmie, gdzie cała oficjalna armia burmańska, na którą tak liczyli Japończycy, przeszła na stronę partyzantów. W okupowanym kraju ludność poznała dobrze faszystowski terror, głód, egzekucje i zniszczenie. Lud Burmy miał także swój Oświęcim, Oradour i Coventry.

Druga wojna światowa przyniosła Burmańczykom bardzo ważne poznanie, a mianowicie, że władcy kolonialni nie są wieczni na terenie Azji. Japończycy potrafili bowiem pobić i usunąć z dotychczas zajmowanych terenów Anglików, Francuzów i Holendrów.

Po zakończeniu wojny nie nadeszły jednak jasniejsze dni dla Burmańczyków. Niedawni alianci — Anglicy powrócili, nie przestając traktować Burmy jako swojej kolonii.

W następnych paru latach sytuacja w Burmie zastrzyła się do tego stopnia, że w obawie przed krwawymi rozruchami ówczesny rząd laborzystowski premiera Attlee w czasie dyskusji nad sprawą Burmy na posiedzeniu Izby Gmin w dniu 1 listopada 1947 r. wystąpił z rządowym projektem ustawy w sprawie przyznania Burmie niepodległości.

Ustawa przyznająca Burmie z dniem 4 stycznia 1948 r. całkowitą niepodległość poza ramami Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, została zatwierdzona na posiedzeniu Izby Gmin w dniu 14 listopada 1947 r.

Na mocy traktatu anglo - burmańskiego z dn. 17.10.47 r. powstała Republika Unii Burmańskiej obejmująca terytorium dotychczasowej kolonii, a więc obszar 677,687 km. kw. (przeszło dwukrotnie większy od Polski) zamieszkały przez 19 milionową ludność, której przeszło trzecia część stanowią mniejszości narodowe. Fakt ten nie jest bez znaczenia, gdyż antagonizmy narodowe stwarzają dodatkowe kłopoty rządowi borykającemu się wciąż z trudnościami gospodarczymi i politycznymi. Tak na przykład ponad milion hinduskich imigrantów stanowiących warstwę urzędniczą, kupiecką i wielkich właścicieli ziemskich panuje nad życiem finansowym kraju, co nie raz już przyczyniało się i przyczynia nadal do zadrżnienia w społeczeństwie burmańskim; półtora miliona Karenów, chrześcijan, zamieszkujących południowe górzyste okęgi Burmy stanowią ugrupowanie nacjonalistyczne skrajnie prawicowe o żywych wciąż tendencjach separatystycznych i orientacji probrytyjskiej. Do niedawna Karenowie posiadali jeszcze własne oddziały zbrojne.

Burma jest krajem gorzystym, o klimacie podzwrotnikowym, wilgotnym i gorącym. Przeciętna temperatura najgorętszego miesiąca wynosi 29,4 st., — najzimniejszego 28,6 st. C. W okresie deszczów od maja do października zdarzają się nierzadkie powodzi, występują wówczas z brzegów trzy wielkie rzeki burmańskie: Irrawadi (2150 km), Saluen (2500 km) i Sit-tang.

Wilgotny, gorący klimat jest bar-

dzo niezdrowy. Często są dni, w których temperatura w godzinach południowych przekracza 40 st. w cieniu. Burma, to kraj malarii, nie więc dziwnego, że przy istniejącym — opłakanim stanie higieny i opieki zdrowotnej przeciętna długość życia w Burmie wynosi, według ostatnich statystyk, 32 lata! Ludność Burmy zajmuje się głównie rolnictwem (75 proc.), rybołówstwem, hodowlą bydła. Nielicząc tylko procent ludności zatrudniony jest w przemyśle i handlu, i to głównie mniejszość chińska — bardzo aktywna, hinduska oraz indo-burmańska.

Ziemia jest urodzajna, lessowa, uprawia się tutaj przede wszystkim ryż. Burma jest największym eksporterem ryżu w skali światowej (30 proc. eksportu światowego). Poza tym znane są burmańskie rośliny oleiste: sezam, orzeszki ziemne; bawełna, trzcina cukrowa i in. 70 proc. ziemi ornej jest w posiadaniu 6000 właścicieli-Hindusów.

Bogactwem Burmy są lasy drzewa teakowe, z których słynie w świecie oraz plantacje kauczuku, 75 proc. światowego eksportu drzewa teakowego przypada na Burmę.

Największymi jednak i nie wyczerkanymi jeszcze bogactwami naturalnymi są: cyna, cynk, ołów, srebro, miedź, ruda żelaza, wolfram, antymon, nafta, sól i drogie kamienie: wspaniałe rubiny i szafiry.

W przemyśle naftowym, przemysłe metali niezależnych głównie: cyny, przemysle drzewnym i węgłudze rzeznej Brytyjczycy ułkowali 80 milionów funtów sterlingów. Wiadomość ta pozwoliła nam zrozumieć niektóre kłauzule anglo - burmańskiego traktatu z 1947 r. Otóż zastrzeżono w nich m. in. uznanie najważniejszych gospodarczych koncesji brytyjskich, przyznanie odszkodowania w przypadku nacjonalizacji wielkiego przemysłu, ewentualność wysyłania na prośbę Burmy brytyjskich misji gospodarczych i wojskowych, udogodnienia dla Wielkiej Brytanii w zakresie burmańskich lotnisk i linii lotniczych.

Burmańskie bogactwa naturalne znajdują się w posiadaniu 4 wielkich towarzystw brytyjskich: Steel Brothers Company jest właścicielem plantacji ryżu, bawełny, kauczuku i wielkich połaci lasów cennych gatunków drzew; Bombay-Burma Trading Corporation trzyma w swoim reku eksport drzewa teakowego; Burma Corporation Limited jest właścicielem kopalń cyny, ołowiu, miedzi, cynku i srebra; Burma Oil Company, jest filią Shella, do niej należy cała nafta burmańska, ona też prowadzi poszukiwania geologiczne. Ostatnia wreszcie wielka spółka mająca monopol na cały transport śródlądowy i rozporządzająca flotyllą blisko tysiąca statków — Irrawady Flotilla Company została niedawno znacjonalizowana.

Ekonomiczna sytuacja Burmy jest trudna. Bez przesady można stwierdzić, że w spadku po kolonizatorach Burma odziedziczyła nędzę przeważającej części ludności, analfabetyzm, epidemie i choroby, feudalną strukturę własności ziemi, zacofanie gospodarcze i minimalny stopień rozwoju przemysłu. Modernizacja całego kraju siłą rzeczy musi być obliczona na szereg lat przy założeniu, że pokojowy rozwój gospodarki narodowej nie zostanie niczym zakłócony. Jak podają statystyki zachodnie - burmańskie, rezerwy złota oblicza się na około 30 milionów funtów sternigów, z ledwością starczą więc na opłacenie półrocznego importu. Dlatego też Burma jest zainteresowana w handlu kompensacyjnym mając do zaoferowania ryż, który jednak nie należy do gatunków najlepszych. Obecnie eksport ryżu przynosi Burmie 80 proc. ogółu dewiz, największym jego odbiorcą do niedawna były Indie.

Rządowy plan rozwoju przemysłu przewiduje elektryfikację kraju, mechanizację urządzeń portowych w Rangunie — głównym porcie eksportowym ryżu, budowę nowych łuszczarni ryżu — dotychczas istniejące są przestarzałe i małe, pochodzą one z pierwszych lat XX wieku — rozbudowę cukrowni oraz budowę nowych fa-

BURMA

DANUTA PASZKIEWICZ

bryk włókienniczych przerabiających krajową bawełnę, dotychczas bowiem artykuły tekstylne były sprowadzane z sąsiednich Indii. Jedyna zaś istniejąca w kraju fabryka została zbudowana przez Japończyków i jej zdolność produkcyjna absolutnie nie wystarcza na pokrycie wewnętrznego zapotrzebowania.

Rząd burmański otoczył również opieką rzemiosło artystyczne. Produkcja rzemieślnicza jest właściwie produkcją chałupniczą, z tym że uprawiany zawód przechodzi najczęściej z ojca na syna. Burmańczycy mają piękne wyroby z laki, z masy perłowej, z cyzelowanego srebra — są to najstarsze gałęzie produkcji rękodzielniczej — prócz tego wyroby z drzewa, skóry i kości.

Pomoc ekonomiczna udzielona w roku 1953 przez USA na prośbę Burmy w postaci pożyczki w wysokości 200 000 dolarów nie przyniosła widocznych efektów, tak samo jak i drastyczne posunięcia rządu z marca 1955 r. obcinające wolumen importu.

Inwestycje ze strony przedsiębiorstw zachodnich są mało prawdopodobne ze względu na niektóre posunięcia polityczne i gospodarczo-polityczne rządu burmańskiego. Od czasu nacjonalizacji pewnych, bardzo nielicznych zresztą gałęzi gospodarki narodowej, jak: cukrownictwo, gorzelnictwo, skup ryżu i transport śródlądowy, inwestorzy zagraniczni nie przejawiają żadnej inicjatywy w tym kierunku.

Jeżeli chodzi o politykę zagraiczną, Burma podobnie jak Indie należy do krajów neutralnych. O niezależności polityki Burmy świadczą nieporządkowanie się dyktatowi amerykańskiemu w sprawie stosunku do rewolucji chińskiej. Burma uznała bowiem rząd Chińskiej Republiki Ludowej, weszła na drogę współpracy z Chinami opierając się na zasadach Pięciu Wolności, potępiała agresję amerykańską na Tajwan, popierała żądania przywrócenia Chinom Lu-

dowym praw w ONZ, nawiązała stosunki handlowe z ChRL; nawiązała przyjazne stosunki ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej. m. in. z Polską. W dniu 1 listopada br. została podpisana w Rangunie pierwsza umowa handlowa polsko - burmańska. Oba kraje postanowiły także nawiązać stosunki dyplomatyczne wymieniając swoich przedstawicieli. Burma odrzuciła udział w agresywnym bloku SEATO, wzięła natomiast udział w konferencji pięciu premierów państw azjatyckich w Colombo w kwietniu 1954 i w Bogor-Bogor w grudniu 1954 r. oraz w konferencji 29 krajów Azji i Afryki w Bandungu w kwietniu 1955 r. Burma wielokrotnie dawała wyraz swoim pragnieniom pokojowego współistnienia narodów, czy to w przemówieniach swoich mężów stanu, czy w praktyce współpracując z innymi krajami azjatyckimi mimo istniejących różnic i dążąc do pokojowego uregulowania sprawy band kuomintangowskich w Burmie.

Kuomintangowcy w Burmie w 1955 r. i A jednak to prawda. Otóż po rozbiłku w 1949 r. nacjonalistycznej armii chińskiej przez armię tworzących się Chin Ludowych, kilka oddziałów kuomintangowców przekroczyło granicę i schroniło się na terenie Burmy. Po pewnym czasie, dzięki pomocy Amerykanów, którzy postanowili skorzystać z okazji i stworzyć na pograniczu Chińskiej Republiki Ludowej bazę dywersyjną, zarzewie ciągłych niepokojów — kuomintangowcy tworzyli już dobrze wyposażone jednostki wojskowe w liczbie około 20 tysięcy żołnierzy pod dowództwem gen. Li Mi, zajmujące około 800 km. kw. powierzchni! Rząd Burmy nie mogąc w inny sposób rozwiązać tego zagadnienia zwrócił się ze skargą do ONZ. W ten sposób na porządku dziennym VII sesji ONZ znalazła się sprawa agresywnych działań kuomintangowskiego „rządu” Tajwanu przeciwko Burmie. Na VII sesji zapadła uchwała w sprawie wycofania band kuomintangow-

skich z Burmy. Wykonanie tej uchwały zostało jednak w podstępny sposób stordedowane przez Stany Zjednoczone, gdyż komisja zajmująca się z ramienia ONZ ewakuacją (przewodniczącym jej był Amerykanin) ogłosiła dnia 21 grudnia 1953 r. w Rangunie oficjalny komunikat zawiadamiający o zakończeniu ewakuacji, wówczas gdy w rzeczywistości na terenie Burmy pozostała jeszcze armia kuomintangowska licząca blisko 10 000 żołnierzy.

Rozwiązanie sprawy band kuomintangowskich w Burmie, ustalenie linii polityki zagranicznej, modernizacja i rozwój gospodarczy kraju oraz utrzymanie charakteru państwa wielonarodowego przy stopniowej demokratyzacji, mimo istnienia terrorystycznego podziemia i fanatyzmu panoszących się sekt religijnych — oto zadania stojące przed rządem, zadania, które określiły układ sił politycznych w Burmie.

Obecnie u władzy jest konfederacja partii zrępowanych w Antyfaszystowskiej Lidze Wyzwolenia Narodowego (Anti-Fascist People's Freedom League, tzw. AFPFL). Liga obejmuje około 250 członków Izby Deputowanych. Najważniejszymi ugrupowaniami Ligi są: Partia Socjalistyczna z przewodniczącym U Ba Swe będącym równocześnie przewodniczącym wielkiej organizacji związkowej zrzeszającej 40 tysięcy pracowników (Trades Union Congress) i z sekretarzem U Kyaw Nyein, głosząca zasady marksistowsko - leninowskie i ideę Rewolucji Burmańskiej oraz Ogólnochłopska Organizacja Burmy (All Burma Peasants Organisation) z przewodniczącym Thakin Tin, mająca duże znaczenie na wsi i wywierająca poważny wpływ na skad Komisji Nacjonalizacji Ziemi (Land Nationalisation Committees). Do AFPFL należy również cały szereg drobniejszych organizacji wiejskich reprezentujących poszczególne mniejszości narodowe oraz grupa eks-socjalistów tworząca Burma Workers and Peasants Party. Poza Ligą znajdują się: trzy ugrupowania komunistyczne oraz Narodowa Partia Karenów. Opozycja parlamentarna, której przewodzi dr Ba Maw jest w praktyce mało skuteczna. Na 30 bowiem członków opozycji 17 znajduje się w prawym skrzydle tzw. Niezależnej Grupy Arakanu (Independent Arakanese Parliamentary Group) nie mającej żadnego znaczenia poza obrębem prowincji Arakan.

Antyfaszystowski Front Wyzwolenia Narodowego będący frontem całego narodu ma wszelkie szanse zwycięstwa w zbliżających się wyborach, które zostaną przeprowadzone w 1956 r.

Rząd Republiki Unii Burmańskiej z premierem U Nu na czele, wybrany przez różne ugrupowania polityczne, daje gwarancje niezależności i bezkompromisowości w stosunku do sił, które tak niedawno uciśkały jeszcze Burmę.

Turniej wyborczy

NIESPOKOJNY i nerwowy był żywot Zgromadzenia Narodowego Francji. Niespokojny, bo w latach tych — a szczególnie w dwóch ostatnich — na arenie międzynarodowej rozgrywały się wydarzenia, angażujące kraj bardzo bezpośrednio i bardzo boleśnie; nerwowy, gdyż coraz trudniej było stronnictwom burżuazyjnym stosować manewry i uniknąć cięsa; opinii publicznej, coraz trudniej było tłumaczyć, że zajmowane stanowisko zgodne jest z programem partyjnym; mówiąc po prostu, tym trudniej było kłamać — im ważniejsze dla Francji podejmowano decyzje.

Wiemy, jakie to były wydarzenia, rozwijające bezlitośnie mgłę frazeologii wyborczej. Sprawa remilitaryzacji Niemiec, raz odrzucona w postaci EWO, wróciła po roku w mniej ościstej formie Unii Zachodnio-Europejskiej i — została półknieta. Sprawa Wietnamu, ciągnięta latami wbrew zdrowemu rozsądkowi i opinii publicznej, znalazła niewesołe dla dumy Republiki rozwiązanie. Problem Maroka, po wielu zaognieniach, walkach i niepotrzebnych ofiarach, skończył się przymusową koncesją w postaci powrotu zdetronizowanego sultana. Wewnątrz też nie działo się lepiej; strajki przypominały deputowanym o niespełnionych obietnicach, danych robotnikom. A obce mundury zajmujące niedaleki Pałac Chailloit przypominały im, że nie bardzo dobrze jest z tą proklamowaną uroczystością w konstytucji suwerenności narodu, którą oni właśnie mieli ucieleśniać.

Ciągle szukanie dróg, a właściwie objazdów, pozwalających na możliwie szybki powrót do zasadniczej marszrut, wyznaczonej chyba nie w Paryżu, miało skutek podobny jak niefortunne objazdy w komunikacji miejskiej — korki i kraksy; przekładając na język polityczny — brak decyzji i rozłam wewnątrz stronnictw. Deputowani rzucali odpowiedzialność na rząd — rządy więc zmieniały się jak dekoracje na scenie obrotowej. Wreszcie jednak parlament wpadł sam w zastawioną przez siebie pułapkę. Premier Faure powołał na nieistotowany od blisko 70 lat przepis konstytucji i — idąc śladami marszałka Mac Mahona — spowodował dekret prezydencki o rozwiązaniu Zgromadzenia.

Bezpośrednią tego przyczyną była, jak wiemy, rywalizacja w ra-

mach jednego teoretycznie stronnictwa radykałów. Kontrowersja między dwoma kolejnymi premiami doszła do stadium „out - out”. Faure wiedział, że za kilka miesięcy przeciwnik jego zorganizuje siły i zdobędzie przewagę. Decyzja — wybory w tym roku za wszelką cenę. Ceną okazało się rozwiązanie Zgromadzenia. Mendès-France zyskał już przewagę w ramach właściwego stronnictwa, które usunęło premiera z swych szeregów. Ale Faure z kolei oparł się o tzw. RGR — luźne ugrupowanie radykałów, dziś montowane przez niego jako nowa, formalna partia. Na ringu — 11. Kilka dni później Faure uderza Mendès-France'a we własnym okręgu wyborczym, przeciągając na swą stronę ustępującego deputowanego radykałowego. Walka trwa.

Wybory odbędą się według ordynacji z 1951 r. przewidującej możliwość koalicji wyborczych. W tej sytuacji, doceniając konieczność połączenia sił narodu, Francuska Partia Komunistyczna rzuciła znów hasło Frontu Ludowego, grupującego postępowe stronnictwa. Oddźwięk, szczególnie u socjalistów, był duży. Federacje socjalistów z departamentów Aube, Ain, Savoie i in. opowiedziały się za sojuszem. Szybko jednak przyszła kontrofensywa góry SFIO, która zdecydowanie odrzuciła koalicję z komunistami, „poświęcając dobro wolnie sporą ilość mandatów”, jak pisała agencja AFP. Analogiczne stanowisko zajęło faurowskie RGR i katolicka MRP. Aby zaś zabezpieczyć się przed ewentualną „niesubordynacją” szeregów partyjnych, rząd wydał dekret (obowiązujący także w roku 1951), iż każda deklaracja o zawarciu sojuszu wyborczego w departamencie musi być podpisana przez pełnomocnika kierownictwa partii. Idea Frontu Ludowego została stordedowana. Jakżę więc przedstawia się dzisiaj układ sił i szans?

Stronnictwa burżuazyjne stoją naprzeciw siebie w dość psotaktywnym ordynku. Po jednej stronie tzw. front republikański, centrowo-świecki według nomenklatury dzienników zachodnich. Łączy on w sobie radykałów Mendès-France'a, socjalistów, małą grupę Mitterranda UDSR i wielu bardziej lewicowych gaullistów. Szanse tej grupy są poważnie zmniejszone przez odrzucenie koncepcji frontu ludowego. „Wydać się — pisał

Combat — że próba przegrupowania niekomunistycznej lewicy pod przewodem Mendès-France'a będzie trudna do zrealizowania. Odrzucenie z jednej strony sojuszu z komunistami, a z drugiej z MRP i umiarkowanymi doprowadza do stanowiska „trzeciej siły”, która możliwa jest tylko gdyby składała się z potężnych elementów. Nie ma o nich mowy, jeśli weźmiemy pod uwagę parlamentarny stan posiadania tych partii”.

Przeciwko nim stoi Faure ze swymi radykałami oraz MRP, która — słowem „Times'a” — „przeszła dziwną zmianę w stosunku do swych pierwotnych założeń postępowej, lewicowo-centrowej partii katolickiej”. Do nich dołącza się dość wpływowa grupa niezależnych Pinay'a, stronnictwo chłopskich i ARS. Wcześniejse przeprowadzenie wyborów i niespodziane poparcie Pinay'a zwiększa — jak się wydaje — ich widoki.

Wreszcie, poza placem turniejowym partii mieszczańskich, stoi Francuska Partia Komunistyczna. Nie trzeba uzasadniać, że wszystkie te czynniki, które osłabiają i rozbijają partie burżuazyjne — a które wymieniliśmy już na początku — wzmacniają równocześnie obiektywnie autorytet komunistów, zajmujących jasne i narodowo słuszne stanowisko. Musimy też jednak pamiętać, jak tendencyjnie fałszywy jest system wyborczy. Przypomnijmy sobie rok 1951: FPK — 5 mln głosów i 103 mandaty, socjaliści — 2,7 mln i 104 mandaty, radykałowie 2,2 mln i 94 mandaty itd. W żadnym więc wypadku ilość zdobytych miejsc nie odzwierciedla realnej siły partii komunistycznej.

Ostatnia uwaga. Wydaje się, że nadchodzi koniec IV Republiki. Rozwiązanie Zgromadzenia jest nawrotem do precedensu z okresu III; nieudana próba zmiany ordynacji także nawiązywała do systemu przedwojennego; praktyka parlamentarna już gdzieś od roku 1950 zarzuca innowację konstytucji 1945. Kłopot w tym, że mechanicznie również nie uzdrowi sytuacji. A więc — być może — Francja przełamie impas i zechce nowymi formami konstytucyjnymi zrezygnować z roli nieczytelnego symbolu; demokracji parlamentarnej doprowadzonej do absurdu.

Janusz Stefanowicz